

NA SZLAKU

Turystyka - Krajoznawstwo - Góry

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego



SPIS TREŚCI

Z NASZEGO REGIONU

Co mnie dzisiaj – jutro tobie	<i>Ambroży Grzenia</i>	3
Na luzie po Górach Orlickich i Bystrzyckich	<i>Mirostław Sadowski</i>	6
Sokołowsko	<i>Magdalena Wojtowicz</i>	9
Ścieżka przyrodnicza „Wokół rezerwatu Odrzyska”	<i>Jerzy Maciejewski</i>	11
Imprezy Oddziałów PTTK woj. Dolnośląskiego w grudniu 2011 r.	<i>Andrzej Rumiński</i>	11

OJCZYSTE SZLAKI

W krainie dobranocek	<i>Waldemar Jankowski</i>	12
Rezerwat „Jezioro Lubygość”	<i>Adam Kutny</i>	14
Obozin – pomorska wieś	<i>Krzysztof Kowalkowski</i>	15
Szlak Habsburgów	<i>Juliusz Wystouch</i>	17

TRASA MIESIĄCA

Rodzinnie przez Beskid Śląski	<i>Juliusz Wystouch</i>	18
Oferta Liechtensteinu na zimę		20

GLOBTROTER

Zdobyć Elbrus (2)	<i>Janusz Fuksa</i>	21
Ural subpolarny (2)	<i>Maciej Besta</i>	23
Lalibela – kościoły w skale	<i>Krzysztof R. Mazurski</i>	24

Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW

XXI Kongres NFI	<i>Krzysztof R. Mazurski</i>	27
Na rajdowym szlaku	<i>Anna Rotko</i>	28
Policzono trasy turystyczne w woj. dolnośląskim	<i>Aneta Augustyn</i>	31
Protokół posiedzenia jury XX Ogólnopolskiego Przeglądu Książki Krajoznawczej i turystycznej		32

EKOLOGIA NA SZLAKU

Czy krajoznawca pójdzie w las?	<i>Tomasz Kowalik</i>	33
--------------------------------------	-----------------------------	----

SYLWETKI „NA SZLAKU”

Wspomnienie o Stefanie Szczurowskim	<i>Krzysztof Tęcza</i>	35
Komunikat	<i>Andrzej Rumiński</i>	36

RECENZJE, NOWOŚCI

Listy z podróży do Zanzibaru	<i>Andrzej Rumiński</i>	37
Konieczność poznać Olesno	<i>Krzysztof R. Mazurski</i>	37
Góry Bystrzyckie czekają	<i>Krzysztof R. Mazurski</i>	38

LISTY, OPINIE, DYSKUSJE

Ratujmy cerkiew w Bystrem w Bieszczadach	<i>Andrzej Rumiński</i>	39
--	-------------------------------	----

**Na okładce: Symboliczny cmentarz ofiar gór w Kotle Łomniczki pod Śnieżką w Karkonoszach.
Fot. Piotr Dacko**

Ambroży Grzenia

CO MNIE DZISIAJ – JUTRO TOBIE

Czyli wspomnienia o wrocławskich cmentarzach

Każdy człowiek, który zwiedza jakieś miasto, to podziwia przeważnie jego architekturę, a czasem też jeszcze muzea ze zgromadzonymi przedmiotami kultury materialnej. Natomiast o wiele rzadziej zdarza się, że odwiedza znajdujące się w mieście cmentarze, a jak wiemy to te obiekty są otwartą księgą, do której dopisuje się ciągle nowe rozdziały. Dlatego miejsca te, mówiące o przemijaniu, przypominają jednocześnie, jacy ludzie tworzyli kulturę miasta, nadając mu niekiedy przez to specyficzny charakter. Inaczej mówiąc, miejsca grzebalne są nie tylko po to żeby ludziom przypomnieć memento mori, ale przede wszystkim są zjawiskami historycznymi. Przykładem tu mogą być obecne i dawne polskie miasta ze sławnymi nekropoliami, jak np. Powązki w Warszawie, Rakowicki w Krakowie, na Pęksowym Brzyzku w Zakopanem, na Rossie w Wilnie, czy Łyczakowski we Lwowie.

Wrocław jako miasto wielu kultur ze swoją tysiącletnią historią miał w swoich dziejach również wiele wspaniałych cmentarzy i to nawet na miarę europejską z niepowtarzalnie piękną plastyką sepulkralną ufundowaną przez bogatych mieszczan naszego miasta. Na skutek jednak radykalnych zmian politycznych w 1945 r. i całkowitej wymiany ludności, prawie wszystkie dawne cmentarze o charakterze przeważnie zabytkowym zostały najpierw zdewastowane, a potem zlikwidowane jako niebezpieczne, co trwało mniej więcej do początków lat sześćdziesiątych XX w. Dlatego nekropolie te można już tylko teraz odtworzyć w sensie lokalizacyjnym na podstawie map znajdujących się w Aktach katastralnych Miasta Wrocławia. Niestety nie można już teraz odtworzyć ich wspaniałego wyglądu czyli wystroju sepulkralnego, bo nikt przy likwidacji nawet nie dokumentował fotograficznie ich charakterystycznego założenia architektonicznego.

Wyjątkiem jest Stary Cmentarz Żydowski z 1856 r. przy ul. Ślężnej o powierzchni 4,6 ha na którym znajduje się ponad 12 tysięcy nagrobków i blisko 300 grobowców. Nekropolia ta ocalała i to tylko częściowo dzięki temu, że pochowany tam jest Ferdynand Lassalle (1825-1864), który dla ówczesnych władz był szczególną postacią i w setną rocznicę jego śmierci, Józef Cyrankiewicz osobiście składał wieniec na jego grobie. Obiekt ten jest obecnie przekształcony w Muzeum Sztuki Sepulkralnej. Można tam obok grobowców słynnych wrocławian wyznania mojżeszowego, obejrzeć też jedno z najstarszych płyt nagrobnych w Europie, czyli macewy rabiego Aharona z 1177 r. i rabiego Dawida z 1203 r., które wykopano spod fundamentów katolickich kościołów.

Jeśli chodzi natomiast o ogół dawnych wrocławskich cmentarzy, to pamiętajmy, że kiedy Polacy walczyli o uratowanie przed likwidacją polskich cmentarzy na Rossie w Wilnie i Łyczakowie we Lwowie, którym w rzeczywistości nie groziła wcale całkowita likwidacja, myśmy w tym samym czasie likwidowali masowo groby dawnych mieszkańców Wrocławia i to było haniebne. Pozbawiono bowiem w ten sposób miasto głębszej tradycji, przekreślając niemal cały siedmuset letni dorobek pokoleń wrocławskich mieszczan, wśród których nie brakowało również i Polaków. Zaczęło się to wszystko, kiedy w 1948 r. na polecenie Ministerstwa Ziemi Odzyskanych wydano instrukcję o „odniemczanie” ziem zachodnich, co dotyczyło również cmentarzy. Tak więc z tych miejsc grzebalnych, które mieściły się na ogół na obrzeżach miasta i były bardzo dobrze wkomponowane w teren, zrobiono potem parki, skwery, a nawet i nowe polskie cmentarze. W ten sposób zlikwidowano między innymi na cmentarzu przy ul. Bujwida grób Ottfrieda Foerstera (1873-1941), który był światowej sławy neurochirurgiem, psychiatrą i neurologiem. Jako dyrektor słynnej kliniki neurochirurgii, która mieściła się przy obecnej ul. Komandorskiej, gdzie teraz znajduje się Wrocławski Uniwersytet Ekonomiczny, był on między innymi w latach 1922-1924 osobistym lekarzem Lenina. W ten radykalny sposób zacierano ciągłość historii miasta nie mówiąc już o stawianiu budynków mieszkalnych na tych miejscach grzebalnych.

A co się stało z dziesiątkami tysięcy płyt nagrobnych pochodzących ze zlikwidowanych ponieścieckich cmentarzy, które w dużej mierze były prawdziwymi dziełami sztuki sepulkralnej i cennymi zabytkami historycznymi? Otóż większość kamieni nagrobnych, to jest ponad 40.000 zgromadzono na

wielkich hałdach na terenie Cmentarza Osobowickiego i stopniowo sprzedawano różnym zakładom kamieniarskim z całego kraju do przeróbki na polskie nagrobki. Natomiast kilkanaście tysięcy nagrobków posłużyło też do umocnienia brzegów fosy miejskiej lub użyto do umocnienia różnych fundamentów remontowanych budowli. Użyto też ponemieckich płyt nagrobnych przy odbudowie Stadionu Olimpijskiego, a nawet na nowe wybiegi dla zwierząt we Wrocławskim Ogrodzie Zoologicznym. W efekcie w wielu miejscach we Wrocławiu można znaleźć jeszcze dziś fragmenty nagrobków z niemieckimi napisami. I tu trzeba pamiętać, że do uratowania chociażby niektórych jeszcze dawnych cmentarzy z końcem lat sześćdziesiątych XX w.



Pomnik Dawnych Cmentarzy Wrocławskich.
Fot. Krzysztof R. Mazurski

było już za późno. Szkoda więc, że tak się stało, bo nekropolie te byłyby teraz nie tylko wielką atrakcją turystyczną, ale przede wszystkim dokumentem bogatej historii Wrocławia, bo Niemcy mieli zwyczaj na inskrypcjach zawsze pisać zawód lub zajęcie zmarłego.

Nadszedł okres, kiedy czasy się zmieniły i w latach 90. ubiegłego wieku otworzono granice. Zaczęto wtedy inaczej się patrzeć na historię Wrocławia i dawną niemiecką kulturę w naszym mieście. Powstał jednak wtedy zenujący kłopot ze zlikwidowanymi ponemieckimi cmentarzami. Wtedy władze Wrocławia pod naciskiem społeczeństwa postanowiły w jakiś sposób rozwiązać ten wstydlivy problem i chociaż w symboliczny sposób naprawić błąd dokonany przez poprzedni ustrój. Tak więc w 2005 r. zapadła decyzja o wybudowaniu specjalnego lapidarium, by w ten sposób uczcić dawnych mieszkańców naszego miasta pochodzących ze zlikwidowanych cmentarzy. Z tego powodu miasto odkupiło od kamieniarza z Mirkowa około 200 najlepiej zachowanych jeszcze płyt nagrobnych i w lutym 2005 r. ogłosiło konkurs na Pomnik Wspólnej Pamięci. Pomnik ten odsłonięto 30.10.2008 r. na nieczynnej części dawnego zlikwidowanego ponemieckiego cmentarza przy ul. Grabiszyńskiej, w miejscu, gdzie stało dawniej krematorium. Przy wejściu nad bramą główną umieszczono napis w języku łacińskim o brzmieniu *MONUMENTUM MEMORIAE COMMUNIS*, a w środku tego symbolicznego cmentarza przed płytami starych, ocalałych fragmentów z grobowców umieszczono na olbrzymiej płycie granitowej nazwy wszystkich zlikwidowanych cmentarzy w naszym mieście.

Dlatego może i my z okazji powstania tego osobliwego pomnika przypomnijmy sobie też, choć w krótkim zarysie dzieje wrocławskich cmentarzy. Musimy się tu jednak cofnąć do dawnych czasów, czyli średniowiecznego Wrocławia, by móc trzymać się chronologii dziejów, kiedy to w kulturze europejskiej pojawiły się tendencje do lokalizacji zbiorowych miejsc grzebania zmarłych ludzi. Działo się to na początku X w., kiedy Śląsk należał jeszcze do państwa czeskiego. W tym też okresie wmieszał się Kościół do spraw grzebania zmarłych i obrzędów pogrzebowych, występując ostro wobec pogańskim zwyczajom chowania ludzkich szczątków na rozstajach dróg lub pod progiem własnego domu. Domagał się dla zmarłych miejsca poświęconego, co mógł spełniać tylko cmentarz. Ponieważ jednak stosunek do śmierci w różnych epokach był inny i to całkowicie nieraz odmienny, w związku z tą innowacją Kościoła trzeba było jeszcze aż trzy wieki czekać, aby większość społeczeństw europejskich krajów żyjących jeszcze nawet niekiedy w plemiennej kulturze pogańskiej, w końcu zaakceptowała cmentarze.

Historia miejsc grzebalnych we Wrocławiu zaczyna się na dobre na początku XIV w., bo od tego czasu datuje się dopiero oficjalnie zwyczaj stawiania znaków nagrobnych na Śląsku dla wszystkich ludzi bez względu na ich status społeczny. Wcześniej zwyczaj ten był stosowany tylko dla dostojników, których chowano przeważnie w świątyniach. Jednak w sporadycznych przypadkach nekropolie wrocławskie, które były wtedy zaczątkami tak zwanych przykościelnych cmentarzy, powstawały już nawet przy końcu XIII w. Tak więc od tego średniowiecznego okresu, aż do naszych czasów, czyli przez ponad siedemset lat było w sumie 123 udokumentowane zbiorowe miejsca grzebalne we Wrocławiu o statusie cmentarnym. Z tego w ciągu tych lat było 82 cmentarzy wyznaniowych, z których wyodrębnić należy 39 protestanckich, 38 katolickich i 5 żydowskich. Natomiast świeckich nekropolii, czyli komunalnych

cmentarzy było w sumie 34 oraz 5 wojskowych i jeszcze 3 zamknięte mauzolea woskowe z ostatniej wojny światowej. Są to: Cmentarz Wojska Polskiego, Oficerów Armii Radzieckiej oraz Żołnierzy Radzieckich przy Skowroniej Górze. Trudno jest jednak w wielkim nawet skrócie wymienić wszystkie nazwy i opisy tych ponad stu dwudziestu cmentarzy, które istniały kiedyś w siedmuset letnim okresie naszego miasta. Ale wypada wiedzieć, że zaraz po wojnie polskie władze zastały 70 czynnych cmentarzy w naszym mieście, a obecnie jest ich już tylko 22. Z tego największy jest Komunalny Cmentarz Osobowicki, na którym od 1945 r. do naszych czasów, czyli do początku XXI w. pochowano ponad 100.000 ludzi. Obiekt ten zajmuje 53 ha i został założony w 1867 r.

Wróćmy jednak jeszcze raz do dawnych czasów w naszym mieście, kiedy w obrębie murów miejskich było pełno drobnych cmentarzy przykościelnych. Nekropolie te na początku XVI w. nie zajmowały w sumie więcej niż 14 ha, bo nie miały możliwości w obrębie murów miejskich do poszerzania się. Najdroższe miejsca grzebalne były zawsze najbliżej zewnętrznych murów kościelnych, gdzie można było na trwałe wykonać wspaniałe epitafia, które świadczyły o pozycji społecznej poszczególnych zmarłych. Teraz jeszcze i my możemy spotkać przy murach zewnętrznych wielkich świątyń, jak np. w kościele św. Elżbiety lub Marii Magdaleny, takie pomniki sakralne bardzo bogatych mieszczan wrocławskich. Pamiętajmy jednak, że cmentarze przy tych dwóch kościołach były dostępne do pochówku tylko dla bogatych zmarłych mieszczan dawnego Wrocławia. Wielka świetność cmentarzy przykościelnych we Wrocławiu zaczęła się dopiero od czasów Reformacji i trwała aż prawie do powolnego ich zmiernienia, czyli schyłku XVIII w. Wyglądały one w ciągu tych lat nieporównywalnie bardziej estetycznie niż w innych krajach Europy. Natomiast jednym z największych przełomów w dziejach kultury europejskiej u schyłku XVIII w. była ostateczna likwidacja cmentarzy przykościelnych w obrębie murów miejskich. We Wrocławiu zakaz grzebania zmarłych w obrębie murów miejskich został wydany dekretem przez króla Fryderyka II w 1776 r., ale niektóre nekropolie przykościelne już nawet wcześniej zaprzestały swojej działalności. Tak więc pierwszym wielkim cmentarzem przykościelnym, który przestał już w 1602 r. przyjmować zmarłych, był katolicki cmentarz przy katedrze na Ostrowie Tumskim. Ewangelicki cmentarz Marii Magdaleny, który mieścił się przy kościele św. Krzysztofa, czynny był do 1771 r. Natomiast ewangelicki cmentarz przy kościele św. Elżbiety funkcjonował do 1776 r. ze wspaniałą barokową bramą wejściową pomiędzy budynkami Jaś i Małgosia, istniejącą do dziś. Ostatnim funkcjonującym wielkim cmentarzem przykościelnym w obrębie starego miasta we Wrocławiu, który mieścił się przy kościele św. Wincentego na pl. Nankiera, czynny był aż do 1811 r. Od tej daty skończyła się definitywnie era cmentarzy przykościelnych w centrum naszego miasta.

Dopiero w połowie XIX w. zaczęła się we Wrocławiu era budownictwa wielkich cmentarzy na dalekich obwodach miasta z założeniami cechującymi się parkowym wystrojem architektonicznym. Istniały jeszcze wtedy co prawda XVIII-wieczne cmentarze tuż za fosami miejskimi, jak cmentarz dla ubogich na obecnym pl. Kościuszki, wojskowy przy ul. Krasieńskiego, gdzie znajduje się obecnie gmach poczty, cmentarz przy ul. Gwarnej, Cmentarz Marcina Lutra w pobliżu skrzyżowania na pl. Grunwaldzkim, gdzie obecnie jest Rondo Reagana, słynny Wielki Cmentarz Protestancki pomiędzy ul. Braniborską a Legnicką, gdzie pochowani byli wszyscy burmistrzowie Wrocławia, Stary Cmentarz przykościelny pod wezwaniem św. Maurycego przy ul. Traugutta. Jednak nekropolie te zostały w drugiej połowie XIX w. szybko przeniesione do nowoczesnych nekropolii na obwodach miasta, które z kolei zostały zlikwidowane dopiero przez polskie władze po II wojnie światowej.

W 1926 r. było we Wrocławiu czynnych 41 cmentarzy, które zajmowały w sumie 237 ha, natomiast w 1932 r. było ich 50 i zajmowały obszar 245 ha, a w 1938 r. było ich już 77 o łącznej powierzchni 260 ha. W 1938 r. Wrocław liczył 623.000 mieszkańców, którzy dzielili się na 365.701 ewangelików, 196.868 katolików, 19.936 Żydów i 40.495 bezwyznaniowców lub osób innych wyznań. Natomiast w tym omawianym 1938 r. liczba zgonów we Wrocławiu nie przekroczyła 7000 osób, czyli nieco ponad 1% mieszkańców i ta liczba procentowa według danych statystycznych utrzymywała się od 1926 r. W 1945 r. administracja polska przyjęła na terytorium Wrocławia 70 czynnych cmentarzy, z czego już do 1950 r. zdażyła zlikwidować 44, a w latach 1960-1966 następne 15 nekropolii, budując często na ich miejscach domy lub polskie cmentarze.

Tak w skrócie przedstawia się historia dziejów wrocławskich cmentarzy. Pamiętajmy więc o dawnych cmentarzach, pomimo że ich już nie ma. Spotkał je bowiem nie tylko jeszcze gorszy los niż nasze polskie cmentarze na Kresach, ale przede wszystkim przez ich utratę zniszczona została bezpowrotnie bogata część historii naszego wielokulturowego miasta. I mimo że wszyscy wiedzą, iż przecież śmierć, jak zwykle, jest nieuniknionym losem każdego człowieka, to nie zawsze ludzie umieją i pamiętają, jak zachować szacunek do cmentarzy, na których w końcu też się kiedyś znajdą.

STAŃ, KTO PRZECHODZISZ, DEPCZĄC MOJE KOŚCI.
WSPOMNIJ, ŻEŚ PODLEGŁY TEJ ŚMIERTELNOŚCI.

Na luzie po Górach Orlickich i Bystrzyckich

Rodzinka „odstawiona” do babci w Kamiennej Górze, a ja z plecakiem pełnym ekwipunku wyruszam z parkingu na Sołtysiej Kopie pomiędzy Dusznikami-Zdrojem a Zieleńcem na Orlicę – najwyższy polski punkt Gór Orlickich. Sam wierzchołek leży nieco obok szlaków, zarówno niebieskiego – polskiego, jak i czerwonego – czeskiego. Od naszej strony można wejść nieco „chaszczując”. Widoków stamtąd nie ma żadnych. Jest za to ślad po triangule i czeskie znaki doprowadzające do głównego szlaku tego pasma. Pogoda raczej kiepska, choć na szczęście nie pada. Góry Orlickie to pasmo w zasadzie w całości leżące po stronie czeskiej. Podejście z parkingu, gdzie pozostawiłem samochód, zajęło mi niecałą godzinę. Nie ma więc uzasadnienia zbyt długi pobyt na szczycie. Popijam więc tylko herbatę i idę dalej. Po około następnej godzinie dochodzę do jedyne w pełni wartościowego schroniska, do *Masarykovej chaty*. Zjadam przyspieszony obiad, popijam piwko, ładuję „wór” na plecy i maszeruję dalej. Po chwili dochodzę do drogi łączącej dolinę Dzikiej Orlicy z miejscowością Deštné. Dalej asfaltem. I tak w zasadzie będzie przez większość trasy. Droga idealna dla rowerzystów: asfalt, zakaz ruchu pojazdów mechanicznych i łagodne podjazdy. Tylko aura trochę nie sprzyja: pochmurno i chłodno. Podchodzę pośród niskiego lasu i łąk w rejon najwyższego szczytu Gór – Wielkiej Deštné. Obok drogi baczka czeskiej Horskiej Służby, która „robi” także za bufet. Podejrzewam, że w razie sytuacji awaryjnej można liczyć na nocleg. Na szczyt wchodzimy idąc kilkaset metrów za zielonym szlakiem. Ze szczytu ograniczone widoki, ale coś widać. Dokoła rośnie rzadki, karłowaty bór świerkowy przypominający nieco daleką tundrę w Skandynawii. Ratownicy znoszą jakieś piły, młotki (bynajmniej nie taternickie), świeżo urżnięte deski, tym podobne akcesoria ratownicze świadczą o nadchodzącym sezonie turystycznym. Dalej szlak wiedzie ciągle asfaltem drogą Jiraszka (*Jiraskova cesta*). Raz po raz odsłaniają się widoki na dolinę Dzikiej Orlicy. Najlepiej jednak widać ją z ambony myśliwskiej, którą mijam w pewnym momencie. Warto zatrzymać się i wejść na nią. Dolina tej granicznej rzeki robi wrażenie. Malownicza, szeroka i dzika, słabo zaludniona, zamknięta Górami Bystrzyckimi, przypomina rejon worka bialskiego. Plecak coraz bardziej daje mi się we znaki. No i oczywiście brak stosownej zaprawy – przede wszystkim. To chyba te dwa piwa w plecaku i kawałek kiełbasy na wieczorne ognisko przeważają szalę ciężaru plecaka niebezpiecznie po za granice mojej wytrzymałości.

Podejście pod szczyt Homolki jest najstromejsze (choć pojęcie „stromizny” w wydaniu Gór Orlickich to klasyczny „pikuś” w porównaniu z każdym innym górskim pasmem), no i tym razem szlak nie wiedzie po asfalcie, ale po prawdziwej, podmokłej górskiej ścieżce. Pojawiają się schrony. Te góry to pozostałość po silnie ufortyfikowanej czechosłowackiej linii obronnej z lat 30. XX w. W systemie obronnym Czechosłowacji Góry Orlickie spełniały bardzo doniosłą rolę – stanowiły naturalną przeszkodę wzdłuż granicy z niemiecką wówczas Ziemią Kłodzką, wbijającą się klinem w głąb Czech. Ewentualne natarcie niemieckie, wprowadzone stąd, po



Bagienny odcinek szlaku



Kunštacká kaplice

przekroczeniu tego grzbietu górskiego nie napotkaloby już poważniejszych przeszkód terenowych na drodze w kierunku Hradca Králové i Pragi. Dlatego góry otaczające Ziemię Kłodzką, a zwłaszcza przecięte wieloma drogami i stosunkowo łatwo dostępne Góry i Pogórze Orlickie, zostały wyjątkowo silnie ufortyfikowane. Miarą tego jest fakt, że zbudowano tu pięć z piętnastu planowanych wzdłuż całej północnej granicy grup warownych, czyli najpotężniejszych i najlepiej uzbrojonych dzieł obronnych w całym systemie. Prócz grup warownych powstała linia ciężkich schronów bojowych, kilka linii lekkich obiektów i stałe zapory przeciwpancerne. Obecnie aż trzy grupy warowne, tzn. Dobrošov, Hanička i Bouda oraz kilka samodzielnych ciężkich bunkrów (m.in. Březinka koło Náchodu i Veselka koło Kralík), stanowią udostępnione do zwiedzania obiekty turystyczne; w ich sąsiedztwie wytyczono dwie ścieżki dydaktyczne, zapoznające z różnymi typami umocnień. Podczas wędrówek innymi szlakami turyści także niemal co krok napotykają na bunkry, zapory przeciwzołgowe, komory sieci telefonicznych i inne obiekty.

Kolejny szczyt Tetřevce i wiem, że nie dojdę do zaplanowanego miejsca noclegowego. Trzeba będzie trochę zaktualizować marszrutę. Dochodzę do Kunštackiej Kaplicy. Fajne miejsce. Trochę widokowe, trochę zapuszczone. Pojawia się kilkoro ludzi, pieszych i rowerzystów. Dalej nie dam rady. Ramiona bolą – od tego piwa, a i nogi jakby z waty. Mam za sobą siedem godzin marszu, co, jak na pierwszy raz w sezonie, mało nie jest. Schodzę jeszcze kilkadziesiąt metrów dalej, na rozstaj dróg Paticesti do bufetoschronu licząc, że Czesi uwzględnią polską „majówkę” i zjem coś ciepłego. Ale się przeliczyłem. Bufet zamknięty na glucho. Pozostaje gorący kubek. Bufet dysponuje zadaszonym miejscem na awaryjny nocleg, na którym znajdą miejsce dwie osoby. Akurat w sam raz dla mnie. Nie będę musiał rozbijać wysłużonej „chińskiej” dwójki. Kiedy już zaanektowałem na swój użytek tę „leżankę”, pojawiają się rowerzyści. Cała grupa młodych rowerzystów ze swoimi pociechami, niektórymi tak małymi, że jeszcze korzystają z maminego cucusia. Wszystkie te pociechy wjechały tu w rowerowych przyczepkach. Tereny Gór Orlickich faktycznie sprzyjają rodzinnym wycieczkom na dwóch lub czterech kółkach. Przychodzi też „na lekko” para sympatycznych, młodych Czechów. Jednakże przypięte do plecaczków karimaty budzą mój niepokój: *Czyżby chcieli tu nocować?! A miało być tak pięknie!!* I, niestety, moje obawy się potwierdzają już chwilę później, gdy chłopak wyciąga z plecaka śpiwór (jeden na ich dwoje!!). Kolejne moje zdziwienie budzi mapa, z jakiej korzystają wędrując po górach: wydruk w internecie wątpliwej czytelności w formacie A4. Ale Orlickie poprzez sieć dróg nie stanowią dla wędrowców orientacyjnego problemu, więc jakoś udaje mi się nie zemdleć z wrażenia. No cóż, trzeba okazać się wielkodusznością i odstąpić im już zaanektowane miejsce pod wiatą, na rzecz starej, wysłużonej (czyt: „lekką zapleśniałej”) „chińskiej” dwójki. Czas na tradycyjne ognisko okraszone kiełbasą i przytarganym na własnych plecach piwem. Ku mojemu zdziwieniu, młodzi Czesi pomagają zbierać chrust. Ale miło! Zapaliliśmy sobie fajne ognisko i zjedliśmy po kiełbasce, ale piwo w całości pozostawili dla mnie. Sympatyczna para!

Rano wstaję wcześniej rano, bo w planach mam dojść na wsi Neratov na niedzielną mszę. Jest tam zadziwiający kościół. Niewspółmiernie duży do wsi, w której został dawno temu wybudowany. Zniszczony podczas wojny, obecnie jest w końcowej fazie odbudowy. Surowy wystrój wnętrza i szklany dach (!) robi niesamowite wrażenie. Kościół po uderzeniu rakiet pancernych Armii Czerwonej 10.05.1945 r. został spalony. Pożar stopił także mechanizm czasowy i dzwon, ale wnętrze się uchoowało dzięki mocnym łukom z cegły. Pomimo starań lokalnych mieszkańców o modernizację w 1957 r. nie przetrwały także łuki. W 1973 r. zdecydowano o rozbiórce ruin, ale na szczęście nie wystarczyło środków.



Okolice Velkej Deštny

W 1991 r. odbyła się tutaj pierwsza pielgrzymka. Od tego czasu powstała nowa neratowska tradycja. W 1992 r. kościół został zapisany na Listę Dziedzictwa Narodowego. Renowację prowadzi rzymskokatolicka parafia Neratov przy współpracy ze Stowarzyszeniem Neratov. W latach 2006-2007 kościół został pokryty dachem, co stworzyło warunki do jego kolejnego wszechstronnego wykorzystania do religijnych i kulturowych celów. Kontynuowany jest remont ścian zewnętrznych i fundamentów schodów, remont wnętrza i

otoczenia kościoła, w tym budowa obiektów dla przybywających pielgrzymów. W przyszłości zamierza się przywrócić pierwotne rokokowe schody i barokową kopułę wieży. Polecam każdemu wizytę w tej świątyni.

Czas na zmianę górskiego pasma. Dziką Orlicę przekraczam w bród i zmierzam do Poniatowa – zagubionej wioski pośród pól, lasów i gór zachodnich rubieży Ziemi Kłodzkiej. Przechodzę obok gospodarstwa agro „Dom na Dęboszu” i już wiem, gdzie zorganizuję najbliższy, jesienny zlot Klubu „Łosia”. Zlot się później odbył i był bardzo udany, a gospodarstwo zasługuje na rekomendację. Zmierzam na Jagodną. Robi się całkiem ładna pogoda. Podejście trochę daje się we znaki, ale po wejściu na grzbiet droga łagodnieje i po jakimś czasie dochodzimy do kulminacji Gór Bystrzyckich. Góry Bystrzyckie wyróżniają się dużą lesistością. Teren jest bardzo słabo zaludniony i ze względu na trudne warunki ciągle wyludniający się w wyniku procesu zanikania wsi. Małe urozmaicenie rzeźby terenu, znaczne zalesienie i słaba baza

noclegowa powodują, że Góry Bystrzyckie nie są popularnym regionem turystycznym. Są one atrakcyjne dla wytrwałych piechurów i rowerzystów górskich poszukujących miejsc wolnych od masowej turystyki. Wchodzę na wieżę widokową (a może raczej na myśliwską ambonę – trudno „wycząić”), coś tam nawet widać na stronę Kotliny. Idę dalej, cały czas lasem i przystanek robię dopiero we wsi Spalona, lądując w



Widok z Jagodnej

schronisku PTTK „Jagodna” przed michą z pierogami. W schronisku ruch, w końcu to „majówka”. Miejsc raczej brak, ale na szczęście w plecaku czeka na swoją drugą szansę „chińska” dwójka – stary, wysłużony namiocik, który nawet za kołem podbiegunowym w Nikkaluokcie nas nie zawiodł, więc nie mam sumienia go po prostu „zutilizować”, więc od czasu do czasu chodzi ze mną, aby całkiem nie zapleśnić i rozruszać gumki od weków (oryginalne gumki naciągowe już dawno zetlały). Trzeba wybrać miejsce na nocleg. Rzut oka w mapę i już z grubsza wiem. Gdzieś po drodze za szlakiem niebieskim w lesie musi znaleźć się jakiś polanka czy choćby plaśń przy drodze. I faktycznie, w rejonie Rozdroża nad Uboczem, przy ławeczkach, da się rozbić namiot. Za jego rozbicie w lesie sprzątam okolicę ze śmieci w myśl autozasady „Pozostaw miejsce, w którym biwakujesz w stanie lepszym niż je zastałeś”. Śmieci zapakowane i zawiązane w worku pozostawiam w miejscu widocznym, tak, żeby służby leśne wywoziły je z lasu.

Postanawiam nieco zmodyfikować marszrutę i zahaczyć o tutejszą atrakcję, czyli o Torfowisko Pod Zieleńcem. Po drodze uciekam przed deszczem na ganek domku myśliwskiego *Hubertówka* na polanie św. Huberta. Malownicze miejsce, nawet mimo padającego deszczu i warto by zrobić tu sobie mały popas z gotowaniem gorącego kubka. Za to szlak zielony to iście przeprawa przez tundrę. Drewniane kładki częściowo zatopione przez przepływającą wodę bagienną wymagają niezłej zręczności i wodoodpornych butów. Kijki do podpierania niezwykle przydatne, a frajda z przejścia tym odcinkiem jest przednia. Szlak w poprzek torfowiska wiedzie starą groblą. Próba przejścia jakąkolwiek inną drogą skończyłaby się dla śmiałka tragicznie. Pokłady torfu sięgają od kilku do kilkunastu metrów. Może kiedyś, jak torf przekształci się w węgiel, to górnicy odkryliby odcisk śmiałka w węglu. Schodzę do doliny Górnej Bystrzycy i zaczynam dosyć strome podejście do Zieleńca wąską ścieżką wzdłuż (a czasem i w korycie) niewielkiego potoczku. A Zieleniec poza sezonem zimowym zastaję w stanie kiepsciutkim. Krajobraz po zejściu śniegu przynębiający! Wszędzie widać zrujnowaną przyrodę na rzecz wyciągów i parkingów. Tak jakby budowniczowie tych ostatnich nie uważali, że nie wystarczy wbić się w stok, by zrobić parking, ale trzeba tę świeżo rozrytą ziemię na zboczu jakoś zabiżnić, choćby przez wyprofilowanie skarp i ich rewitalizację. Jednym słowem Zieleniec na początku maja wygląda strasznie! Przynajmniej w 2010 r. Z chęci skorzystania z komunikacji autobusowej w celu podjechania do zaparkowanego kilka kilometrów od centrum Zieleńca samochodu muszę szybko zrezygnować, bo przystanek jest, ale na tyle daleko i to w stronę przeciwną, że zawracam i idę pieszo. I dobrze robię, bo żaden autobus po drodze mnie nie mija. A i droga malownicza, choć mżawa kropi.

Tyle pokrótce wspomnień z Gór Orlickich i Bystrzyckich. Pasm za wszech miar godnych polecenia turystom kwalifikowanym, którym niestraszne dźwiganie na plecach ekwipunku biwakowego, bo trud ten wynagrodzą im zarówno widoki, jak i puste, górskie przestrzenie.

Magdalena Wojtowicz

SOKOŁOWSKO

Ta malownicza miejscowość usytuowana jest na wysokości 540-600 m. n.p.m. w gminie Mieroszów, woj. dolnośląskie. Otaczają ją Góry Suche, które wchodzą w skład pasma Sudetów Środkowych. Leży ona na uboczu głównych szlaków komunikacyjnych.

Miejscowość dawniej nosiła nazwę Görbersdorf i ma bogatą przeszłość historyczną. Pierwsi osadnicy przybyli tutaj bowiem na przełomie XIII i XIV w., a później wielokrotnie nękani byli najazdami i plądrowana. W latach 1426-1443 miejscowość grabili husyci. Zagrody chłopskie oraz inne zabudowania zostały doszczętnie zniszczone. W 1644 r., gdy Szwedzi najechali zamek Książ, właściciel znalazł schronienie w domu tutejszego sołtysa. Na początku XIX w. istniało we wsi czternaście zagrod chłopskich. Miejscowość należała do Hochbergów.

W 1854 r. Hermann Brehmer wraz z Marią von Colomb założył tu pierwsze na świecie sanatorium przeciwgruźlicze. Prowadzenie zakładu przyrodoleczniczego możliwe było dzięki uzyskanej koncesji



Cerkiewka w Sokołowsku. Fot. Krzysztof R. Mazurski

dek cieszył się ogromną popularnością, co wymagało rozbudowy placówki. Na początku XX w. uzdrowisko mogło przyjąć do 1000 kuracjuszy. W XIX w. dr Rompler zbudował promenadę biegnącą z sanatorium do ruin zamku Radosno. W 1878 r. został wzniesiony kościół ewangelicki, budowany ze składek kuracjuszy. Dla licznych gości z Rosji w 1901 r. wzniesiono w parku, istniejącą do dziś, kaplicę prawosławną. Po odkryciu prątków gruźlicy przez Kocha oraz zastosowaniu innych metod leczniczych liczba kuracjuszy znacznie się zmniejszyła. Od 1888 r. zaczęto tu propagować sporty zimowe. Kurort posiadał własne stoki oraz skocznie narciarskie. Pierwsza liczyła 60 m, druga 30 m, co na owe czasy czyniła je dość znanymi w Europie.

Po II wojnie światowej nazwę Görbersdorf zamieniono na Sokołowsko. Nazwa została przyjęta na cześć dr Alfreda Sokołowskiego, który przez sześć lat był asystentem dra Brehmera. Niestety, w latach 50. wskutek nieinwestowania w infrastrukturę uzdrowiska ośrodek powoli podupadał. Budynek główny, zwany „Grunwaldem”, popadł w ruinę. Rozebrano najstarszą część sanatorium, podupadł również park zdrojowy wraz z altanami, alejami i deptakami. Skupiono się wówczas na rozbudowie sportowej części uzdrowiska. Powstała 2-kilometrowa rolkostrada oraz dwa wyciągi narciarskie.

Sokołowsko jest malowniczą miejscowością, która walczy o przywrócenie jej dawnej świetności. Swoją niezwykłość zawdzięcza wyjątkowemu topoklimatowi. Miejscowość jest ze wszystkich stron otoczona szczytami górskimi. Krzyżuje się tu wiele szlaków turystycznych, którymi można dotrzeć do ciekawych punktów widokowych. Górskie szlaki są przygotowane na zwiedzających turystów. Wybudowano tu wiaty, które pełnią funkcję ochronną. Turyści mogą się schronić przed deszczem, wiaty mogą również służyć jako baza do biwakowania. W 2000 r. powołano stowarzyszenie rozwoju Sokołowska, które działa na rzecz przywrócenia miejscowości dawnej atrakcyjności i popularności. Powstało tu archiwum twórczości Krzysztofa Kiesłowskiego, który mieszkał w Sokołowsku w latach 50.

Turyści mogą korzystać z licznych tras spacerowych, turystycznych oraz ścieżek rowerowych. W pobliżu znajduje się schronisko PTTK „Andrzejówka”. W miejscowości funkcjonuje sanatorium, które znajduje się w budynku „Biały Orzeł”. Budynek jest odnowiony i wyposażony w najnowszy sprzęt. Turyści w hotelu „Leśne Źródło” mogą zjeść smaczny posiłek, a nawet samemu wyłowić pstrąga z pobliskiego potoku, którego przyrządzi hotelowy kucharz. Odbywają się tam treningi łucznictwa, konferencje i imprezy okolicznościowe.

Sokołowsko jest ciekawą miejscowością, którą warto odwiedzić. Miejsce to jest doskonałe, aby odpocząć od miejskiego zgiełku. Można zwiedzić i pobliskie ruiny zamku Radosno. Odbywają się różne imprezy kulturalne, wernisaże znanych artystów. Szlaki górskie są doskonale przygotowane dla zwiedzających, zarówno pieszych, jak i na rowerach.

od rządu pruskiego. Zdaniem Brehmera świeże, górskie powietrze było wskazane dla osób chorujących na płuca. Preferował on też w swej praktyce natryski zimną wodą, połączone z rozgrzewającym nacieraniem. W 1862 r. powstały pierwsze budynki dla kuracjuszy, zagospodarowano również park leśny do dyspozycji pacjentów. Dwadzieścia lat później zmodernizowano kwatery i do dyspozycji kuracjuszy było dostępnych już 303 miejsca.

Kurort stawał się coraz popularniejszy, a goście odwiedzający go przybywali nie tylko z Niemiec, ale również z Paryża, Wiednia, Warszawy i Petersburga. Kuracjusze podczas swego pobytu mieli do dyspozycji bibliotekę, odbywały się tu również regularnie koncerty. Ośro-

Ścieżka przyrodnicza „Wokół rezerwatu Odrzyska”

Ścieżka znajduje się na 1 km na północozachód od Lubiąża, niedaleko Wrocławia, i jej całkowita długość wynosi 3 km. Jest ona zamkniętą pętlą wokół rezerwatu przyrody „Odrzyska”; zaczyna się i kończy przy parkingu. Dojechać do niej można drogą prowadzącą z Lubiąża do Glinian. Za zabudowaniami Lubiąża skręcamy na zachód na utwardzaną drogę polną, którą prowadzą zielony szlak turystyczny i niebieski szlak rowerowy: zaprowadzi nas ona do miejsca parkingowego przy rezerwacie. Ścieżka początkowo wchodzi wysoką skarpą, będącą krawędzią Wysoczyzny Rościszawickiej, następnie brzegiem Odry, skrajem lasów łągowych. Dalej szlak wchodzi w lasy gospodarcze porośnięte sosną, którymi dojdziemy do punktu wyjścia. Ścieżka jest szczególnie atrakcyjna latem, w okresie maksymalnego rozwoju kotewki orzecha wodnego i salwinii pływającej. Pierwszym tematycznym przystankiem są „Borsucze Nory”, położone na terenie rezerwatu, ukazują na stromej skarpie pradoliny Odry kompleks nor borsuczyc. Przy drodze do drugiego przystanku warto zwrócić uwagę na łąn konwalii majowej.



Kolejny przystanek – „Starorzecze”, ustanowiony nad starorzeczem, pokazuje stare koryto Odry będące w trakcie zarastania. W pasie szuwarów dominuje trzcina pospolita, pałka szerokolistna i manna mielec. Na tafli wodnej możemy spotkać rzadkie i chronione rośliny pływające – kotewkę orzecha wodnego i salwinę pływającą. Starorzecze jest akwenem, w którym odbywa swe gody kilka gatunków płazów, w tym żaby moczarowe. Zamieszkują tu łabędzie nieme, gągoły i błotniaki stawowe. Zobaczyć można tu też ślady żerowania bobrów. Idąc wzdłuż lasu dojdziemy na brzeg Odry.

Przed nami trzeci przystanek prezentujący „Rzekę Odrę w otoczeniu lasów łągowych”. Jest to typowy dla Obniżenia Ścinawskiego lesisty fragment doliny Odry. Z interesujących roślin rosną tu: śnieżyczka przebiśnieg, złoć mała oraz konwalia majowa. Z ptaków na uwagę zasługują: dzięcioł średni, kania ruda, kania czarna, trzmielojad. Początkowo idziemy leśnym duktem, z którego skręcamy na wschód. Przed nami czwarty przystanek – „Lasy gospodarcze”. Powyżej strefy zalewowej nie zachowały się naturalne zbiorowiska leśne. Obecnie rosną tu monokultury sosny o przeciętnych walorach przyrodniczych. Z ciekawszych roślin rośnie tu bluszcz pospolity.

Imprezy Oddziałów PTTK woj. Dolnośląskiego w grudniu 2011 r.

2.12.2011 – Podsumowanie sezonu turystycznego. Jawor; PTTK O/Ziemi Jaworskiej;

3-4.12.2011 – Rajd Mikołajkowy. Karkonosze; PTTK Oddział w Legnicy;

10.12.2011 – Wycieczka z Mikołajem. Görlitz; PTTK Oddział w Legnicy;

10-11.12.2011 – Rajd Mikołajkowy. Karkonosze; PTTK Oddział w Legnicy;

14.12.2011 – Podsumowanie rankingu „Wędrujemy”; PTTK Oddział w Legnicy;

Grudzień – Ogólnopolski konkurs „Poznajemy Ojcowiznę”. Lubin; PTTK Oddział Zagłębie Miedziowe w Lubinie.

Oprac. Andrzej Rumiński

Waldemar Jankowski

W krainie dobranocek

Szlachetne zdrowie – nikt się nie dowie ile kosztujesz, jeśliś nie poszedł do szpitala wojewódzkiego w Rzeszowie...

... kpiła przed laty z dzisiejszej stolicy podkarpacia Genowefa Pigwa. Dziś Rzeszów również kojarzy się przeciętnemu globtroterowi z prowincjonalną stolicą rolniczego, położonego na końcu Polski województwa o śmiesznej nazwie. Do tego stopnia miasto budzi niepoprawne skojarzenia, że często za jego symbol uznaje się Pomnik Czynu Rewolucyjnego nazywany przez rzeszowian niezbyt pochlebnie. Można się długo spierać, czy ta etykieta „Polski B” jest uzasadniona i sprawiedliwa oraz z jakiego punktu widzenia i według jakich kryteriów można „dokleić” ją do jakiegoś miasta; jednak łatwiej nie ulegać stereotypom, gdy się jakieś miejsce poznało osobiście, choćby tylko jako turysta.

Nie znajdziemy w Rzeszowie gotyckich katedr czy warowni, nie ma tu królewskich siedzib, nadrzecznych bulwarów, francuskich ogrodów, brak znanych oper, teatrów, galerii. Niewiele jest nawet eklektycznych kamienic z okresu wczesnego kapitalizmu, którymi pochwalić może się każde, nawet prowincjonalne miasto. Nie wyklucza to jednak Rzeszowa ze szlaków nawet najmniej wrażliwych na piękno otoczenia krajoznawców, bo miasto mimo wszystko posiada ciekawe i warte poznania pamiątki, tym bardziej, że mieszkańcy zadbali, by miały one wygląd rodowych sreber, a nie zapomnianych rupieci.

Zwiedzanie Rzeszowa warto zacząć od rynku. Otaczają go niewysokie kamieniczki bez szczególnie charakterystycznych elementów architektonicznych, jednak ich zwarta zabudowa tworzy niepozbanioną własnego charakteru urbanistyczną całość. Dolne kondygnacje kamienic zajmują oczywiście chętnie odwiedzane lokale, przed którymi ustawiono ogródki gastronomiczne, dzięki czemu rynek tętni życiem. Nie można pominąć znajdującego się tutaj ratusza. Niewielki, ale elegancki eklektyczny budynek do dziś jest siedzibą władz miejskich. Natomiast w podziemiach rynku miasto połączyło zachowane w fundamentach dawnych kamienic piwnice w podziemną trasę spacerową. Szczere gratulacje należą się w tym miejscu oprowadzającemu po nich przewodnikowi. Ze spaceru po śródmiejskich piwniczkach potrafi zrobić ciekawy i bardzo zajmujący występ, umiejętnie przeplatając opowieść o miejscu, w którym aktualnie stoi grupa z elementami historii miasta bez zanużdzenia szczegółami i fachowymi terminami. Trasa prowadzi między innymi przez



Ratusz



Dawny klasztor pijarów

dostrzec perełki architektury. Z zadbanego, zwartego ciągu prowincjonalnych kamienic wyróżnia się siedziba dawnego zakonu pijarów. Góruje nad nim fasada barokowego kościoła. Pozostałe budynki zajmują dziś liceum oraz miejscowe muzeum. Warto zwrócić na nie uwagę, bo obok tradycyjnych wystaw sprzętów, wyrobów miejscowego rzemiosła i artystów posiada ono w swoich zbiorach niezwykle ciekawą galerię malarstwa. Kto spodziewałby się w rzeszowskim muzeum znaleźć obrazy najbardziej znanych artystów? Nie ma tu dzieł znanych z podręczników szkolnych, albumów lub plakatów, jednak pędzel Malczewskiego, Chełmońskiego, Gierymskiego czy Boznańskiej zachwyci nawet ignoranta w dziedzinie historii malarstwa.

Najbardziej charakterystycznym zabytkiem Rzeszowa jest bez wątpienia pałac Lubomirskich, otoczony murami obronnymi, przez co nazwany został *palazzo in fortezza*. Ogromny, czteroskrzydłowy gmach z wewnętrznym dziedzińcem oraz wieżą nad fasadą jest dziś siedzibą sądu. Obecny kształt uzyskał po odbudowie na początku XX w., natomiast pierwotnie w jego miejscu stała warownia obronna. Niestety, pałac jest niedostępny dla zwiedzających. W okolicy warto zwrócić ponadto uwagę na dwie secesyjne wille, należące do Polskiego Radia oraz Urzędu Miejskiego, letni pałacyk Lubomirskich oraz potężny eklektyczny budynek banku PKO BP.

Rzeszów posiadał również swoją dzielnicę żydowską. Zachowały się po niej dwie synagogi: stara i położona tuż obok nowa. Po wojnie budynki, jak wszędzie, straciły swoje funkcje sakralne. Dziś nie ma już tutaj mniejszości żydowskiej. Obydwie budowle przetrwały dzięki przekształceniu ich w obiekty użyteczności publicznej. Budynek nowej synagogi jest starannie odnowiony i mieści się w nim Biuro Wystaw Artystycznych; posiada on cechy renesansowe i barokowe. Powstał po rozrośnięciu się populacji żydowskiej tak, że stara, mniejsza synagoga przestała jej wystarczać. Natomiast skromniejsza stara synagoga jest obecnie siedzibą Archiwum Państwowego. Jest wybudowana w stylu renesansowym i pierwotnie pełniła również funkcje obronne dla często plądrowanego przez obcych miasta. W mieszczącym się natomiast nieopodal budynku Teatru „Maska” urządzono Muzeum Dobranocek. Zgromadzone tam pamiątki nie są może perełkami kultury, zwłaszcza miejscowej, jednak z pewnością zainteresują nie tylko dzieci.

Rzeszów bez wątpienia nie jest miastem zapierającym dech w piersiach; gdzież mu do Krakowa, Torunia, Gdańska czy choćby Sandomierza lub Tarnowa. Ale myli się ktoś, kto propozycję przyjazdu do niego skwituje pogardliwym komentarzem. Miasto doskonale nadaje się na weekendowy wypad, ma do zaoferowania wystarczająco dużo atrakcji, przy czym dbałości o ład i estetykę otoczenia mogłyby się od Rzeszowa uczyć nawet najpopularniejsze i najchętniej odwiedzane centra turystyczne. Nie trzeba być dociekliwym krajoznawcą, żeby spędzić tu atrakcyjny i niezapomniany weekend.

dawne magazyny kupieckie, schowki miejscowych rzemieślników, tzw. pułapkę, czyli zwężenie utrudniające dostęp grabieżcom często plądrującym miasto, skromne wystawy sprzętów odnalezionych podczas porządkowania piwnic, a także podarowanych przez mieszkańców i instytucje na potrzeby ekspozycji. Na szczególną uwagę zasługują natomiast resztki niewielkiej kaplicy, jedne z niewielu rzeszowskich pamiątek z okresu gotyku.

W zabudowie ul. 3.

Maja również trudno

Rezerwat „Jezioro Lubygość”

Tytułowy rezerwat utworzono w 1962 r. na powierzchni 70,85 ha w leśnictwie Mirachowo, w pow. kartuskim (woj. pomorskie), na Pojezierzu Kaszubskim w zespole jezior Potęgowskich. Lubygość to długie oraz wąskie jezioro rynnowe o stromych i zalesionych brzegach o powierzchni całkowitej 17,8 ha. Wyróżnia się ono wyjątkową malowniczością wśród tutejszych jezior. Wzdłuż jego brzegów ciągną się liściaste lasy o charakterze łągów lub olsów, a na przybrzeżnych wodach występują grzybienie północne, będące reliktem polodowcowym, oraz grązel żółty. Na otaczających zboczach przeważa kwaśna buczyna niżowa. Drzewostan tworzą buki, dęby i sosny osiągające wiek około dwustu lat. Na pniach starych buków spotyka się poza tym, podlegające ochronie ścisłej, porosty z rodzaju brodaczka. Z ptaków łągowych występuje tu gągoł – kaczka gniazdująca w dziuplach – i samotnik (brodziec). W rezerwacie stwierdzono około 270 gatunków roślin naczyniowych, spośród których pięć podlega ścisłej ochronie gatunkowej: grzybienie północne, paprotka zwyczajna, podrzeń żebrowiec, widłak jałowcowaty, widłak goździsty i wroniec widlasty. Pięć gatunków objętych jest ochroną częściową: bluszcz pospolity, konwalia majowa, grązel żółty, kruszyna pospolita i przytulia wonna. Część z nich, to jest: wroniec widlasty, przetacznik górski czy podrzeń żebrowiec, to gatunki o charakterze podgórsko-górskim. Na wschodnim brzegu jeziora znajduje się miejsce widokowe, z którego można podziwiać główny walor rezerwatu – piękny wodno-leśny krajobraz. Cechą charakterystyczną akwenu jest woda o krwisto-brunatnym zabarwieniu, zarówno w jeziorze, jak i dopływających strumieniach. Mimo tej nietypowej barwy w jeziorze można się kąpać, choć niedostępne brzegi i spora odległość od najbliższego parkingu powodują, że nie jest to często odwiedzane miejsce – ale zdecydowanie warto je odwiedzić!

Oprócz walorów przyrody ożywionej rezerwat ma także dodatkowe atrakcje. Otóż na północno-wschodnim brzegu jeziora znajduje się ciekawostka geomorfologiczna, są to grotty żwirowo-zlepieńcowe, wymyte przez deszcze ze stromych zboczy. Groty leżą na pół-zach. stoku wyrobiska żwirowego nad jeziorem. Jaskinia należy chyba do najmłodszych jaskiń w Polsce, a jej powstanie nie całkiem jest naturalne. Na przełomie lat 50. i 60. wydobywano tu żwir odslaniając ławice zlepieńca żwirowego, powstałego na skutek scementowania żwiru węglanem wapnia pochodzącym z wody przesiąkającej przez ciekłą warstwę gliny morenowej. Górne warstwy zlepieńca stanowią jednolitą płytę wspierającą się na kolumnach. Przestrzeń pomiędzy nimi wypełnia luźny żwir, który na skutek erozji wysypał się na dno starej żwirowni. To zjawisko przyczyniło się bezpośrednio do powstania znanych obecnie próżni.

Kolejnym miejscem, które warto odwiedzić, jest bunkier żołnierzy Gryfa Pomorskiego „Ptasia Wola” i krzyż upamiętniający bohaterskich obrońców. Przebieg bohaterskiej walki żołnierzy był następujący. Pod koniec lata 1943 r. gestapo nasiliło działania skierowane na rozbięcie Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski”. Grupa gestapowców z Janem Kaszubowskim na czele i Janem Biangą we wrześniu 1943 r. otoczyła część Lasów Mirachowskich w celu likwidacji oddziału „Gryfa Pomorskiego” działającego w tych okolicach. Udało im się otoczyć bunkier „Ptasia Wola”, w którym kwaterowało wraz z sąsiednim bunkrem (już nieistniejącym) około dwudziestu żołnierzy. Zabici zostali: Jan Gruba lat 18, Jan Labuda lat



Grota Mirachowska



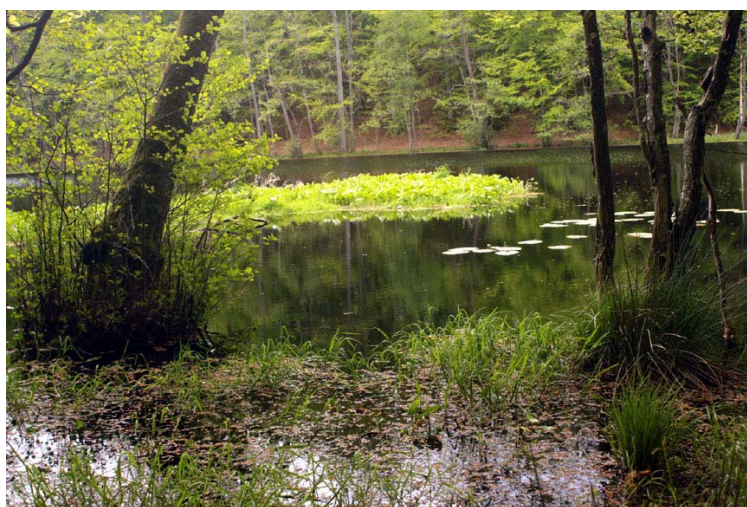
Wejście do bunkra

Lasy Mirachowskie, ozdobione m.in. piękną Rynną Potęgowską, oglądaną zwłaszcza z Lechickiej Szczeliny, tajemniczym Lubygościem czy też niezwykłą Mirachowską Świtezia – Jeziolem Kamiennym, oraz Jeziora Raduńskie, czyli centralną część Wysoczyzny Pojezierza Kaszubskiego, okolice Kościerzyny, a także rejon jezior wdzydzkich.

Odwiedź Kaszuby!

21, Klemens Studziński lat 21. Jan Os lat 22 został wzięty do niewoli i postawiony przed niemieckim sądem wojskowym w Gdańsku, skazany na śmierć i 10.01.1944 r. stracony w Królewcu. Ponadto jeden żołnierz został ciężko ranny, a czterech lżej. Reszta po bohaterskiej walce zdołała się przebić przez okrążenie i uszła z życiem. Obecnie bunkier został zrekonstruowany – w pierwotnej formie był dużo większy niż rekonstrukcja – obecnie to jedna komora i korytarz z wyjściem przez wyłaz. Replika bunkra PTASIA WOLA została wybudowana w Szymbarku.

Rezerwat „Lubygość” znajduje się na trasie Szlaku Kaszubskiego – najdłuższego i zarazem chyba najpiękniejszego szlaku całego regionu gdańskiego. Krętą trasą przemierza głównie niemal cały obszar Pojezierza Kaszubskiego (a przynajmniej zachodnią, lwią jego część), zaznajamiając z wielkością jego najcenniejszych walorów. Przebiega on przez



Jezioro Lubygość

Krzysztof Kowalkowski

Obozin – pomorska wieś

Obozin jest wsią sołecką w gm. Skarszewy, w pow. Starogard Gdański w woj. pomorskim, zlokalizowaną na pld.-wsch. od Skarszew, przy drodze prowadzącej z Bolesławowa do Trzcińska, nad jeziorem Duży Mergiel. Wieś położona jest na wysoczyźnie morenowej o bardzo urozmaiconym krajobrazie. Ze wschodniej strony Obozin ogranicza rynnowe Jez. Godziszewskie o kierunku południowym oraz droga wojewódzka nr 222 z Gdańska przez Godziszewo do Starogardu, z zachodniej zaś strony wieś ograniczona jest biegnącą z południozachodu ku północnemu skrajowi Jez. Godziszewskiego połodowcową rynną. Wypełniają ją jeziora: od zachodu Borówno Duże, Borówno Małe, Rokitki, Duży Mergiel i Mały Mergiel. Ponadto są też liczne zagłębienia rozrzucone po terenie, powstałe po wytapiającym się lodzie i wypełnione wodą, nazywane oczkami wodnymi. Niektóre z nich stanowią dziś tylko mokradła. Duży Margiel, nad którym leży wieś, ma powierzchnię 35,4 ha i jest w części otoczone lasami. Mały Mergiel zajmuje 6,8 ha. Rokitki, z których wypływa struga przepływająca przez Obozin, ma powierzchnię 3,6 ha. Struga przepływająca przez Obozin wpływa następnie do Jez. Godziszewskiego. Obozin znajduje się w Obszarze Chronionego Krajobrazu Doliny Wierzycy, obejmującym środkowy odcinek doliny wraz z licznymi starorzeczami i dopływami Wierzycy łączącym szereg jezior,



w tym Godziszewskie i Duży Mergiel. Jak wspominał Z. Kosobucki, Mały Mergiel jest głębokie, w jednym miejscu mierzy 60 m. Kosobucki mierzył je z łódki z Konradem Igiel około 1955 r. Jak mówią starzy mieszkańcy Obozina, jezioro to jest prawdopodobnie połączone z Dużym Merglem podziemną studnią, a świadczyła o tym zawsze czysta i przejrzysta woda. Teraz jest ono zaniedbane i zamulone.

Powierzchnia sołectwa, w skład, którego wchodzi także osada Jastrzębie, wynosi 1157,2 ha. Według stanu na 31.12.2010 r. we wsi mieszkało 206 osób. W ostatnich latach powstało tu nowe osiedle

domków jednorodzinnych, które stale się rozbudowuje. Prężnie działają Koło Gospodyń Wiejskich oraz Stowarzyszenie Przyjaciół Obozina i Kociewia. Od 2008 r. są organizowane są w Obozinie Rodzinne Pikniki Country, w których uczestniczy wielu gości z terenu całego kraju. Wieś ma zabudowę ulicówki. W centrum znajduje się kościół katolicki, będący filią parafii w Godziszewie, budynek dawnego dworu oraz zabudowania dawnego folwarku. Wokół centralnej części wsi rozrzucone są gospodarstwa, wśród których wyróżniają się założone w 1937 r. gospodarstwa, tzw. „Poniatówki”, z drewnianymi domami mieszkalnymi, murowanymi oborami, drewnianymi stodołami i studniami. Nad Dużym Merglem znajdują się domki kempingowe dawnego ośrodka wypoczynkowego PGR Skarszewy, dziś będące własnością osób prywatnych, oraz niestrzeżone kąpielisko z pomostem. Piękna lokalizacja Obozina zachęcała w ostatnich latach do przeprowadzenia się do wsi nowych mieszkańców, dzięki którym powstaje nowe osiedle domków jednorodzinnych. Swoją siedzibę ma tu Simbesco Polska sp. z o.o. powstała w 1991 r., której udział w 2008 r. kupiła holenderska firma Simbesco BV. Zajmuje się ona m.in. realizacją wentylacji i klimatyzacji, głównie w przemyśle farmaceutycznym. Działalność gospodarczą w swym 140-hektarowym gospodarstwie rolnym i w fermie drobiu prowadzi Tomasz Megier. Pracownię renowacji mebli i stolarki zabytkowej oraz wyrób ceramiki użytkowej założyli w swojej „Stodole Inspiracji i Piecowni Czarowni” Dariusz Maciejewski i jego żona Weronika Wróbel-Maciejewska. W budynku dawnego sklepu, który jest własnością Krystyny Schulz, działa sklep i świetlica wiejska. Obok sklepu na gruntach udostępnionych przez nią, mieszkańcy zorganizowali i wyposażyli plac zabaw dla dzieci.

W okolicy Obozina, w pobliżu osady leśnej Obozin, znajduje się pomnik przyrody – głaz narzutowy o obwodzie 9,75 m i wysokości 2,6 m. Drugi, nieco mniejszy, tkwi na północ od jez. Rokitki. Przy drodze z Bolesławowa do Obozina znajduje się kurhan, zwany przez miejscową ludność Czubatką. Nie sposób też nie zwrócić uwagi na północną część Jez. Godziszewskiego z półwyspem wrzynającym się w jego wschodni brzeg. Na półwyspie tym znajduje się wczesnośredniowieczne grodzisko, zwane Styna, Szwedzki Okop, Czapka Szwedzka, Czubatka Szwedzka lub też Kurhan-Mogiła Szwedzka. Na mapie z 1933 r. góra ta nosiła nazwę Święta Góra (*Heiligen Berg*). O miejscu tym opowiadane są różne legendy. Jedna z nich mówi o pięknej hrabinie z Obozina i zakochanym w niej szwedzkim rotmistrzu. Nalegał on, aby hrabina wyszła za niego za mąż, w razie odmowy grożąc zemstą. Przerażona hrabina postanowiła uciec i zabrawszy kosztowności ruszyła przez zamrażnięte Jez. Godziszewskie. Rotmistrz ruszył w pościg za hrabiną i kiedy był obok sań hrabiny, lód się załamał i wszyscy utonęli. Inna legenda, także dotycząca czasów najazdów szwedzkich, mówi o bitwie i klęsce poniesionej przez Szwedów, którzy ratując się uciekali przez zamrażnięte jezioro. Ponieważ było ich bardzo wielu, jak pisze J. Szulkalski, 1800 ludzi, lód się załamał i wszyscy utonęli. Utonęli także goniący Szwedów Polacy i *do dziś śpią na dnie jeziora, jako „śpiące wojsko”, które w razie potrzeby znowu stanie do walki.*

Na zachód Obozina zlokalizowane są Skarszewy, miasto z wieloma zabytkami, założone w XI w., będące w latach 1198-1370 siedzibą joannitów. W Obozinie i w bliższej oraz dalszej okolicy, m.in. Skarszewach, Trzcińsku, Ciecholewach, Siwiałce, odkryto wiele zabytków archeologicznych wskazujących na dawne osadnictwo, którego ówczesni mieszkańcy na pewno się ze sobą komunikowali. Czy przez wspomniane osady wędrowali kupcy „Bursztynowego Szlaku”? Wiadomo, że ze Starogardu do Gdańska, przez okolice Godziszewa, wiodła droga kupców „Via mercatorum”.

Przez Obozin prowadzą, według stanu na koniec marca 2011 r., trzy oznakowane szlaki turystycznymi. Pieszy Szlak (czerwony) Jezior Kociewskich (odcinek północny) wiedzie ze Skarszew obok jezior: Borówno Wielkie, Borówno Małe, przez Obozin, wzdłuż Jez. Zduńskiego, Szpęgawsk, Rywałd do Starogardu Gd. Długość jego wynosi 38 km. Drugi szlak – Jeziorny (zielony), zaliczany do Kociewskich Tras Rowerowych, prowadzi ze Skarszew aż do Osieka o łącznej długości 69 km. Szlak ten nazwano szlakiem jeziornym, gdyż przebiega w okolicy około dwudziestu jezior kociewskich. Ze Skarszew szlak prowadzi przez Bolesławowo, Obozin, Trzcińsk, Ciecholewy, Szpęgawsk, Rywałd, Starogard Gd. i dalej do Osieka. W ramach oznakowania szlaku postawiono w Obozinie obok kościółka tzw. PITstop (Punkt Informacji Turystycznej), czyli tablicę informacyjną z historią miejscowości oraz mapą szlaków. Szlak powstał dzięki dofinansowaniu z Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Pomorskiego i został zrealizowany przez Powiat Starogardzki na podstawie koncepcji opracowanej przez Lokalną Organizację Turystyczną Kociewie. Trzeci szlak (konny) – nr 8, zaliczany jest do szlaków turystyki konnej w ramach projektu „Kociewie na 4 kopyta”, którego pomysłodawcą było Turystyczne Stowarzyszenie Gmin Kociewsko-Borowiackich BÓR, zaś koordynatorem LOT Kociewie. Szlak o łącznej długości 20 km prowadzi z Boroszewa przez Bojary, Obozin, Borówko, Bączek do wsi Krąg. Z Boroszewa w ramach kolejnych szlaków konnych można udać się konno w kierunku Swarozyna, zaś z Kręgu w kierunku Starej Kiszewy i Osiecznej. Szlak ten jest bardzo cenny dla Obozina, gdyż coraz więcej miłośników jazdy konnej odwiedza Obozin i to nie tylko podczas Pikniku. Przez Obozin prowadzi także nieznakowany szlak turystyczny grodzisk i gotyku Kociewia. Jego długość wynosi 136,8 km. Początek bierze on we wsi Olpuch (Wdzydze) i wiedzie przez Starą Kiszewę, Stare Polaszki, Orle, Garczyn, Pogódki, Głodowo, Szczodrowa, Panina Góra, Skarszewy, Obozin, Godziszewo, Trzcińsk, Szpęgawsk, Starogard Gdański, Klonówka, Brodzki Młyny, Nicponia i kończy się w Gniewie.

Juliusz Wystouch

SZLAK HABSBUROGÓW

Idąc z Istebnej na Przystop przez Pietraszonkę zobaczyłem nieznanne mi dotąd znaki z wyróżniającą się literą „H”. Z pewną nieśmiałością zacząłem domniemywać, iż chodzi o szlak poświęcony rodowi Habsburgów, osiadłemu na Śląsku do końca I wojny światowej. Znaki te napotkałem nad Pietraszonką, a towarzyszyły w wędrowce do wierzchołka Baraniej Góry.

Po powrocie z wyprawy sięgnąłem do „siec” i co się okazało. W 2011 r. wiślański Oddział PTTK wyznakował Szlak Habsburgów, upamiętniający ten książęcy ród. W miejscach szczególnie związanych z Habsburgami postawiono tablice informacyjne. Szlak wiedzie z Wisły od zameczku Habsburgów na ul. Lipowej. Wspomniane tablice z opisami oraz fotografiami z początku XX w. prowadzą turystę przez miejsca związane z życiem i działalnością dwóch ostatnich gospodarzy tych okolic z dynastii habsburskiej – arcyksięcia Albrechta oraz Fryderyka. Od zameczku szlak wiedzie przez Oazę, Czarne (wylęgarnia pstrąga, gospoda *Rackelhahn*, budynek dawnej leśniczówki – dziś Nadleśnictwa Wisła), Zadni Groń (miejsce, gdzie stał zameczek myśliwski arcyks. Fryderyka, kaplica oraz oficyny), przez przełęcz Szarcułę (759 m) na Przystop (leśniczówka z 1863 r. – obecnie Izba Leśna) i dalej aż na szczyt Baraniej Góry (1220 m). Szlak częściowo wykorzystuje istniejące już znakowane szlaki piesze, dlatego np. od Pietraszonki widzimy znaki „habsburskie” razem z niebieskimi i zielonymi. Długość szlaku 20 km, zatem na przejście całości potrzebny jest cały turystyczny dzień. Można zanoćować w schronisku PTTK na Przystopie, a drugiego dnia kombinacją innych szlaków wrócić do Wisły.



Juliusz Wystouch

RODZINNIE PRZEZ BESKID ŚLĄSKI

Jako że mamy Rok Turystyki Rodzinnej, zaproponuję rodzinną trasę przez Beskid Śląski. Rekomendacja tym bardziej sensowna, że na szlakach pusto i chcę zachęcić Czytelników do wędrowania po górach. Trochę to jak wożenie drewna do lasu, takie zachęcanie turystów do uprawiania turystyki. Jednak to, co widziałem podczas tygodnia spędzonego na szlakach Beskidu Śląskiego, skłoniło mnie do sięgnięcia po klawiaturę. A co widziałem? Puste szlaki i puste schroniska.

Proponuję rodzinną wędrowkę „przez całą mapę”, czyli z południa na północ od Zwardonia do Bielska-Białej.

Dzień pierwszy to odcinek Zwardoń – Koniaków – Istebna Zaolzie. Wyruszamy ze stacji kolejowej w prawo na zachód mijając kilka sklepów i kościołów. Okazja do zrobienia zakupów, choćby napojów na trasę. Kawaleczek idziemy razem ze zn. czerwonymi i niebieskimi. Czerwone odchodzą w lewo na Główny szlak Beskidzki w kierunku schroniska PTTK „Dworzec Beskidzki”, my zaś za niebieskimi idziemy na wiadukt nad torami. Zaraz za wiaduktem w prawo, po 100 m w lewo na wąską asfaltową drogę wijącą się między rzadką zabudową. Przed nami widok na nikomu niepotrzebny drogowy terminal graniczny i widniejący nieco w dali najwyższy w tej okolicy Sołowy Wierch (848 m). Idziemy na północ, przechodzimy wiadukt nad szosą na Słowację, po minięciu pensjonatu skręcamy w lewo i wędrujemy (ulica z chodnikiem) w kierunku zachodnim do skrzyżowania ulic. Na wprost gruntowa droga, która często służy do ściągania drewna, w lewo odchodzi asfaltowa ulica, my zaś skręcamy w prawo od razu pod górę. Zaczyna się górską wędrowką. Wznosząc się mijamy kilka zabudowań, gdzieś po około 400 m szlak skręca w lewo skos na dość strome zbocze. Uwaga! Wcześniej na słupie „wykrzyknik” nad znakiem szlaku, sama strzałka nakazująca skręt w lewo jest umieszczona jakieś 20 m od skrętu i można ją przegapić. Następuje niedługie, ale dość mocne podejście, potem pochylenie nieco się zmniejsza. Podchodzimy przyjemną ścieżką na wierzchołek Sołowego, mijając niewielkie koszone łąki. Kulminacja jest zalesiona, tam szlak skręca w prawo obniżając się przez młodnik. Wkrótce ostry skręt w

prawo, a kilkaset m dalej kolejny zakos w lewo. Już przez wysoki las obniżamy się w kierunku Przeł. Rupienka, ale wcześniej przecinamy utwardzoną drogę i wchodzimy na asfalt. Mijamy odejście szlaku zielonego (kierunek Jaworzynka, Zapasiaki Górne) i 300 m dalej osiągamy wspomnianą przełęcz. Tu kończą się góry. Asfaltową drogą przez przysiółek Koniakowa Fibaczka dochodzimy do głównej drogi (szosa Istebna – Koniaków – Milówka). Kierujemy się na lewo, a koło banku wypatrujemy zn. żółtych odchodzących na północ. One zaprowadzą do całorocznego schroniska





PTSM „Zaolziańska”, znajdującego się w Istebnej Zaolziu. Tu zatrzymujemy się na nocleg. W pobliżu znajduje się sympatyczny bar, w którym co leniwi turyści mogą się tanio i smacznie posilić. W schronisku jest dobrze wyposażona kuchnia turystyczna i obszerna jadalnia – to dla tych, którzy lubią sami sobie coś upitrasić. Przejście zajmie nie więcej niż 3 godz.

Drugi dzień to przejście do schroniska PTTK na

Przysłopie pod Baranią Górą. Zielony szlak wiedzie asfaltową drogą lekko wznosząc się aż do Pietraszonki. Po prawej stronie zobaczymy ciekawy wąski grzbiet Filipionki (773 m), na którym można wypatrzeć skałki. Na Pietraszonce znajduje się także schronisko studenckie. Po 4-kilometrowym odcinku po asfalcie szlak wkracza na leśną ścieżkę. Idzie się wygodnie w pobliżu Przysłopu, gdzie niespodziewanie następuje krótki, ale bardzo urozmaicony odcinek percią po stromym zboczu tuż pod schronisko. W tym niezbyt ciekawym, choć dla turysty wygodnym budynku, zatrzymujemy się na nocleg. Obok w stylowym budynku Ośrodek Kultury Turystyki Górskiej. Idąc spokojnie i z przystankami będziemy szli jakieś 3 godz.

Dzień trzeci wędrówki. To najdłuższy dzień naszej wyprawy. Wyruszamy z Przysłopu na Baranią Górę. Od początku dość mozolnie kamienistą ścieżką, potem nieco łagodniej wznosimy się na Wierch Równiański (1160 m), następne na Wierch Wisielka (1192 m) i wreszcie na wierzchołek Baraniej Góry (1220 m). Tu zrzucamy plecaki i wchodzimy na taras widokowy umieszczony na stalowej wieży. Widoki na cały Beskid Śląski i Żywiecki. Widzimy duże połacie wylesionych grzbietów i zboczy. To wiatrolomy, dziś już częściowo zalesiane. Jednak przez kilka – kilkanaście lat będą to tereny widokowe. Teraz można się przekonać o tym w dalszej wędrówce. Szlak zielony, wiodący przez Magurkę Wiślańską, Zielony Kopic i Malinowską Skałę, niemal cały czas dostarcza widoków we wszystkie strony. Można rzec, ma „wierchowy oddech”. Po drodze kilka sporych podejść i zejść, jest więc co robić. Po kilku godzinach solidnej wędrówki docieramy do Skrzycznego, gdzie zatrzymujemy się w schronisku. Przed zachodem warto wejść na sam wierzchołek. O tej porze zobaczymy wspaniałe widoki, szczególnie w kierunku Babiej Góry i Pilska. Na przejście odcinka Przysłop – Skrzyczne trzeba przeznaczyć min. 5 godz.

Czwartego dnia schodzimy do Szczyrku, najlepiej zielonym szlakiem, trawersując dość strome zbocza Skrzycznego. W górnych partiach zaskakująco ciekawe i ładne odcinki szlaku. Można też zjechać kolejką linową. Do miejscowości schodzimy w jej centrum. Niemal 2-km. końcowy odcinek zejścia dość monotonny banalną drogą wyłożoną betonowymi „kratkowymi” płytami. Przy głównej ulicy Szczyrku sklepy, bary, restauracje i pizzerie. Można się posilić i uzupełnić niezbędne zapasy. Następnie idziemy na Klimczok. Możemy wybrać między szlakiem niebieskim i zielonym. Oba jednak wiodą ulicami i drogami asfaltowymi na długich odcinkach. Zielony długo doliną, niebieski niemal od początku wznosząc się po zboczach obok kompleksu hotelowego Orle Gniazdo i sanktuarium MB Na Górcie. Dopiero końcowy półgodzinny (może 45 min.) odcinek to podejście szutrową drogą przez górnoregłowy las. Jeśli siły i pogoda dopiszą, można dzień zakończyć wejściem na wierzchołek Klimczoka. W ten sposób zaoszczędzimy sobie podejścia na „na ciężko” w dniu następnym. Czystego marszu 3 godzi., trzeba doliczyć trochę czasu na przejście (pobyt) w Szczyрку – posiłek, zakupy.

Kolejny dzień przeznaczamy na przejście trawersem do schroniska PTTK na Szyndzielni, choćby po to, aby zobaczyć ten ciekawy obiekt, zjeść drugie śniadanie, kupić jakiś fajny drobiazg w sklepiku. Krótki odcinek od schroniska PTTK na Klimczoku do schroniska na Szyndzielni pokonamy w 45-50

min. Po odpoczynku wracamy do węzła szlaków i odejścia czarnego, którym pójdziemy w kierunku Błatniej. Idąc drogą niemal poziomo dojdziemy do szlaku żółtego, schodzącego ze szczytu Klimczoka. Idziemy nim dalej na zachód. Szlak prowadzi przez las, pokonując niewielkie wahania wysokości. Wreszcie osiągamy sporą halę na Błatniej (Błotnym 917 m). Wierchołek „ozdobiony” jest betonowymi „wieżyczkami” ujęcia wody. W kilka minut od wierchołka łagodnie schodzimy do przemilego schroniska PTTK, przed wojną należącego do lokalnej sekcji Naturfreunde (członka NFI). Ten odcinek trasy zajmie co najmniej 3-4 godz.

Dzień szósty i ostatni. Niebieskim szlakiem pójdziemy ze schroniska na Błatniej do Bielska-Białej. Początkowo wędrujemy wygodną ścieżką niemal bez straty wysokości, co najwyżej niewiele się obniżając. Po drodze drobne wahania wysokości. Schodzimy na Siodło pod Przykrą, gubiąc nieco ponad 100 m, potem niewielkie podejście na Przykrą (824 m) i kolejny długi, spokojny odcinek do wzniesienia Wysokie. Do Palenicy (688 m) nie szczególnego się nie dzieje, choć kawałek zejścia z Przykraj dość zajmujący. Jednak dopiero od zwornikowego wierchołka Palenicy zaczynają się schody – solidnie i mozolnie w dół. Trzeba



na krótkim odcinku wytracić 200 m wysokości do spotkania zapory na Wapienicy. Stąd już poziomo długą prostą aleją w miejskim lesie dochodzimy do przystanku autobusu miejskiego, którym dojechać można do dworca PKP i PKS. Zejście zajmie 2-2,5 godz.

Rady praktyczne. Ponieważ w schroniskach pościel jest dodatkowo płatna, trzeba do zasadniczej ceny noclegu doliczyć 6-10 zł. To w przypadku wędrowki 4-osobowej rodziny kumuluje się w spore kwoty. Warto zabrać swoje poszewki traktując je jak śpiwory. Po prostu wsuwamy się do poszwy i przykrywamy schroniskowym kocem. Trzy zestawy: poszwa kołdrowa + poszewka na poduszkę zajmuje tyle miejsca, co typowy letni śpiwór. Rachunek jest więc prosty. Można wędrować z niewielkim plecakiem, np. 45 l, i posilać się w schroniskowych bufetach, jednak dużo taniej wyjdzie korzystanie z własnych zasobów i wrzątku wydawanego przeważnie za darmo. W schronisku na Klimczoku po zamknięciu kuchni wystawiany jest do jadalni czajnik elektryczny, co umożliwi skorzystanie z wrzątku także w nocy, na Błatniej za litr płacimy symboliczną złotówkę.

Podane czasy są orientacyjne, bo każdy ma swoje tempo. Należy wziąć poprawkę na to, że idziemy z dziećmi. Oczywiście tempo i możliwości fizyczne 7-10-latka są inne niż 15-latka. Najdłuższy odcinek trasy, trzeciego dnia, liczy około 14 km, z tym, że po drodze jest kilka sporych zejść i podejść. Trzeba przeznaczyć trochę czasu na odpoczynki oraz dłuższą przerwę na posiłek. Zatem wspomniane 5 godz. to czas czystego przejścia.

Oferta Liechtensteinu na zimę

Powyżej 1600 m można się cały dzień rozkoszować zimowym i księżącym śniegiem, co kierujemy tak dla wyrafinowanych narciarzy, jak i całych rodzin. Dajcie się zaskoczyć i rozkoszujecie zimowymi feriami w Księstwie Liechtenstein. Nasza zryczałtowana zimowa oferta obejmuje: 3 albo 7 noclegów, śniadanie, karnet narciarski (Skipass) na 2 lub 6 dni.

Zatrzymać się można w licznych hotelach lub pensjonatach, ale oferta dotyczy tych pierwszych: **Skigebiet Malbun**. Ważna: 23.12.2011 – 9.04.2012. Ceny podawane są we frankach szwajcarskich (CHF) i zależą od właścicieli obiektów.

Kontakt: Liechtenstein Tourismus, Städtle 37, 9490 Vaduz, Tel. +423 239 63 00, Fax +423 239 63 01, info@tourismus.li, www.tourismus.li.

Janusz Fuksa

Zdobyć ELBRUS (2)

Przechodzimy wzdłuż popękanej lodowej ściany o niebieskim zabarwieniu, do której dostępu bronią ogromne seraki. Od czasu do czasu słychać trzask, po czym ze ściany osuwają się bryły lodowe. Z oddali dochodzą stłumione grzmoty wydawane przez pękający lodowiec. Forsujemy kolejne zbocze. Nogi stawiamy ostrożnie, gdyż pod śniegiem słychać szum wody. Kroczymy o kilkadziesiąt metrów od stromej ściany utworzonej przez ciemnoszarą skałę andezytową. Pod wpływem słońca topiącego lodowe podpory spadają kamienie, wywołując małe miejscowe lawinki śnieżno-kamienne. Nieczynny, pozbawiony życia wulkan przemawia własnym językiem. Po przejściu kolejnych fałd pola firnowego i sforsowaniu stromego zbocza stajemy przed szarym dwupiętrowym budynkiem o opływowych kształtach (zbudowanym w latach 1938-39, obliczonym na 200 osób). Wchodzimy do wnętrza. Nareszcie można będzie wypocząć po trudnym marszu. Przejście od Chotiu-Tau zajęło nam aż sześć godzin, choć w ubiegłym roku trasę tę przebyliśmy w ciągu czterech godzin.

Pierwsza niespodzianka: kierownik schroniska Orest dobrze mówi po polsku. Pochodzi ze Lwowa. Zresztą wśród wielu języków rozbrzmiewających w schronisku słyszę też i polski. Mieszka tu grupa krakowskich alpinistów. W jadalni spożywamy gorący posiłek. Spoglądam przez malutkie okna w półokrągłej ścianie. Na zewnątrz rażąca oczy biel przestrzeni śnieżnej, ograniczonej od góry łańcuchem szczytów. Między oknami – ryciny i zdjęcia ludzi zasłużonych dla poznania Elbrusa. Oto Kabardyjczyk Kiłtar Chaszyrow, który 22.07.1829 r., idąc z wyprawą pod dowództwem gen. G. Emmanuela, jako pierwszy wszedł na wschodni wierzchołek Elbrusa. Dzień ten uważa się za początek rosyjskiego alpinizmu. Oto topograf Andrej Pastuchow, który w 1890 r. jako pierwszy Rosjanin wszedł na zachodni wierzchołek Elbrusa i przeprowadził stamtąd pomiary topograficzne. Do 1917 r. na szczycie były zaledwie 24 niewielkie grupy alpinistów. Zaś w 1960 r. w jubileuszowej alpiniadzie, kończącej się na szczycie, wzięło udział 1395 uczestników. Wiedza, technika i doświadczenie ludzkie umożliwiły realizację tego trudnego przedsięwzięcia. Do jadalni ratownicy wnoszą dziewczynę, którą wydostali ze szczeliny lodowca. Szła z kolegą bez sprzętu, bez asekuracji, z Terskołu przez lodowiec Azau. Długo trwa sztuczne oddychanie i masaż serca. Jeszcze jedna ofiara kaukaskiego olbrzyma.

Następny dzień przeznaczamy na aklimatyzację. Odwiedzamy położoną o pół godziny niżej Lodową Bazę, gdzie mieści się stacja Wysokogórskiego Instytutu Geofizycznego. Gospodarz bazy, Kabardyjczyk Mohamed Ibrahimowicz, jednocześnie kierownik elbruskiego oddziału ratowników, wraca właśnie z wyprawy. Na toboganie – kolejna ofiara lodowca. Po odesłaniu rannej „gazikiem” do Terskołu gospodarz przyjmuje nas w swym domku zbudowanym na rozległej czarnej morenie. Człowiek ten okazuje się skarbnicą wiedzy o najwyższym szczycie Kaukazu. Mówi o niebezpieczeństwie mgieł i wiatrów huraganowych, o nocach, gdy temperatura spada niekiedy do -30°C, o śniegach, które jego Lodową Bazę zasypywały po dach. Wspomina tragedie spowodowane złą pogodą, przemęczeniem, halucynacjami z niedotlenienia i brakiem aklimatyzacji. Właśnie we wrześniu ubiegłego roku stracił podczas niesprzyjającej pogody swego bliskiego współpracownika Ernesta. Zginął on w szczelinie lodowca, ratując alpinistów, których prowadził na szczyt. Jeszcze przed rokiem rozmawiałem z tym ciekawym naukowcem, prowadzącym tu badania glaciologiczne. Mimo trudów życia na skraju wielkiego lodowca elbruskiego, Mohamed jest tu już dwadzieścia lat.

W nocy, tuż po godzinie pierwszej, wychodzimy z Prijuta Odinnadcati pod rozgwieżdżone czarne niebo. Wysoko nad nami – niewyraźne kontury lodowej czapki Elbrusa. Zimno, temperatura -15°. A przecież to lato (początek sierpnia 1972 r.). Śnieg, pokryty cienką warstwą lodu, skrzypi pod butami. Pnąc się pod górę mijamy kolejne skałki. Oto kamienie zwane Prijutem Diewiati. Wyżej niewielka



śnieżna równia ze sterczącymi z niej kamieniami – Skały Pastuchowa (4610 m). Słyszałem opowieść, że kozacy, towarzyszący Pastuchowowi w jego wyprawie 1890 r., czterokrotnie na skały te znosili wielkiego topografa, cierpiącego na chorobę górską. Dopiero piąta próba pozwoliła uczonemu osiągnąć szczyt. W okolicy skał wyraźnie czujemy wydobywający się z ziemi siarkowodór. Jeszcze 400 m podejścia w kierunku wierzchołka wschodniego i skręcamy w lewo, trawersując stok. Wschodzi słońce. Na zachodzie, na tle różowej poświaty – niebieski cień Elbrusa. Jeszcze raz mamy możliwość obejrzeć ten niezwykle widok. Wchodzimy między wierzchołki. Dmie silny wiatr, obsypując nas śniegiem niesionym ze stoku. Przed nami drewniany schron. Niestety, zasypany śniegiem, bez dachu. Nie skryjemy się tu od wiatru i zimna, jak przed jedenastu laty Stanisław Biel („Kolejką na Elbrus” – POZNAJ ŚWIAT 6/1961). Mohamed wyjaśniał nam, że kiedyś alpinści pozostawili drzwi schronu otwarte. Resztę zrobiły wiatr, śnieg i wahania temperatury. Szukano ostatnio chętnych, którzy by zgodzili się opróżnić schron ze zlodowaciałego śniegu. Bez skutku.

Ruszamy dalej. Jesteśmy na siodle między wierzchołkami. To już 5416 m n.p.m. Przystaję, patrzę do tyłu. Odkrywa się przede mną piękny widok na panoramę imponujących szczytów Głównego Grzbietu Kaukaskiego. Wszystkie stały się niskie, jakby zapadły się pod nami. Daleko, na lewo, nieznacznie wznosi się ponad grzbiet kopuła Szcheldy (4369 m) i tuż obok niej strzelista dwugłowa Uszba (4700 m). Dalej, na prawo za kamienistym obniżeniem grzbietu, strzela w górę kopulasty biały masyw Donguz-Orunbaszi (4454 m), a obok – spadzista Nakra (4277 m). Jeszcze dalej biała kulminacja szczytu Łakra (3715 m). Przed szczytami grzbietu otwiera się czarna dolina Baksanu, pokryta w tej chwili gdzieś białymi wysepkami obłoków. Do doliny z naszej strony schodzi wielki lodowiec elbruski, tworząc w kierunku na Nakrę czarną podkowę moreny. Tam stoi schronisko Prijut Odinnadcati, niewidoczne stąd gołym okiem, bo ukryte wśród czarnych skałek.

Ale trzeba iść dalej. Obracam się, ruszam za kolegami. Zaczynamy trawersować wierzchołek wschodni. Idziemy po śniegu w górę, bardzo wolno. Brak tlenu. Każdy krok, choć ma długość stopy, wymaga trzech oddechów. Co chwila wiatr stara się nas zatrzymać, rzucając w twarz drobne kryształki lodu. Dobrze, że mamy ciemne okulary. Niebo nad nami jest bezchmurne. Mgła dopiero podnosi się z dolin. Po południu czapa obłoków okryje Elbrus. Wówczas trzeba już być w schronisku, jeżeli nie chce się pobłądzić podczas schodzenia. Stawiam kolejne kroki na śnieżnej pochyłej pustyni. W głowie błyska myśl: jestem wyżej niż wznosi się Mont Blanc (4810 m). Jeżeli granica między Europą i Azją biegnie po głównym grzbiecie Kaukazu, a nie po rzekach Kuma i Manycz, to Elbrus jest najwyższym szczytem Europy. Wtem jeden z uczestników, doświadczony alpinista o najlepszej w grupie kondycji, nagle przystaje i pada na śnieg. Po ocuceniu robi kilka kroków – i znowu leży. Nie ominęła więc nas choroba górską z niedotlenienia mózgu i serca. Kierownik, nie chcąc dzielić grupy, podejmuje decyzję: „Schodzimy!” Spoglądam na obydwie wierzchołki. Są zupełnie blisko. Zabrakło tylko dwustu metrów! Miał rację Stanisław Biel, że nad przełęczą dzieją się „cuda”. Kaukaski olbrzym zostanie więc dla nas niezdołany. Szkoda!

Koniec

Ural Subpolarny (2)

Czwartek, 3 marca 2011. Dzień zero. Dzień, na który czekaliśmy tak długo. Docieramy do Wierchownej Inty, która wita nas porywistym, przenikliwym wiatrem. Oraz niespodziewanie ujmującym przyjęciem przez milicjantów stacjonujących na dworcu, którzy dokładnie dopytują się o nasze doświadczenie, o to, czy sobie poradzimy w trakcie ekspedycji. Uspokajam rozmówcę, wręczam mu również na jego prośbę numer naszego telefonu satelitarnego. Milicjant twierdzi z całą stanowczością, że jeśli nie wrócimy w terminie, będzie dzwonić, a jeżeli się to nie uda, to rozpoczną poszukiwania. Szybkie przepakowanie, dokupienie słoniny w pobliskim sklepie i nareszcie ruszamy. Pierwsze 20 km to dosyć dobrze wyjeżdżona droga, także poruszamy się bez użycia nart, szybko pożerając kolejne kilometry. Docieramy do skrzyżowania, gdzie dobra droga odbija w lewo, a my rozpoczynamy właściwy marsz po trakcie prowadzącym w stronę kopalni *Żielannaja*, leżącej u podnóża Uralu. Latem 120 km do kopalni można pokonać w cztery dni, zimą – nie wiadomo. Tuż przed ostatecznym zapadnięciem w lasy rozmawiam z kierowcą ciężarówki i pytam się, jak często o tej porze roku można spodziewać się transportów na trasie Inta – Żielannaja (jesteśmy przygotowani do marszu w obydwie strony, lecz, o ile będzie to tylko możliwe, drogę w jedną stronę chcielibyśmy odbyć na ciężarówce, tak by mieć czas na gruntowniejszą eksplorację serca gór). Kierowca chwilę się zastanawia, po czym z wahaniem stwierdza, że bardzo rzadko. Kręci z niedowierzaniem głową, słysząc, że nie będzie dla nas problemem dojść i wrócić pieszo, po czym uśmiecha się i odjeżdża. Pierwsze kilometry to pierwsza walka. Świeży śnieg pokrywa koleiny, nierówności i wyboje, czyniąc marsz powolnym i męczącym. Pulki co chwila przewracają się, niektóre odcinki głębokiego śniegu wymagają wyłożonej pracy całym ciałem, by posunąć się choćby o metr. Raz na jakiś czas zmieniamy się na prowadzeniu, najczęściej jednak jako pierwszy idzie Dzik, zapominając o wszystkim prócz góry, skrytej hen, gdzieś daleko za horyzontem. Średnio raz na godzinę muszę niemalże siłą zmuszać go do chwili postoju i przede wszystkim krótkiego posiłku. Maszerujemy do późnego wieczoru, aż w końcu, około godz. 19, długo po zapadnięciu zmroku, decydujemy się na nocleg. Otaczający las otulają kilkumetrowe, głębokie zasy; rozbić się nie jest więc, niestety, szybkie i przyjemne. Nareszcie jednak nadchodzi długo oczekiwana chwila, czyli ciepły posiłek i przytulne śpiwory. Jeszcze tylko test telefonu satelitarnego. Okazuje się, że mamy zasięg, jest już nawet pierwszy sms od mojej Mamy trzymającej kciuki i życzącej nam wszystkim powodzenia. Zасыпiam z myślą: *dlaczego, u licha, jest tak ciepło – tylko -7 °C?*

Piątek, 4 marca 2011. Pobudka o świcie, gotowanie, jedzenie, pakowanie. Szybki wymarsz. Pierwsze kilkaset metrów drogi napawają optymizmem. Jest mało świeżego śniegu, szybko posuwamy się do przodu. Niestety, po kilku minutach zaczyna się koszmar. Droga staje się jedną wielką zaspą, z pułapkami w postaci ukrytych pod śniegiem, załamujących się dziur, kolein i nagłych uskoków. Po beznadziejnej walce decydujemy się iść poboczem przez las i krzaki. Zasy są potwornie głębokie, lecz przynajmniej pulki wywracają się rzadziej. Narty nie ułatwiają zadania i nawet z nimi zapadamy się nieraz głęboko w śniegu. Droga jest różna, raz lepiej, raz gorzej, całokształt wypada jednak niezadowolająco, a tempo mamy dość wolne. Dzień wcześniej pokonaliśmy łącznie około 17 km, tego dnia tylko 15. To naprawdę mało. Na dodatek Magdę jakby zaatakowało jakieś przeziębienie, cały dzień uporeczywie kaszle, minę też ma nietęgą, lecz maszeruje na równi z nami. Nareszcie pod sam wieczór marsz zaczyna być szybszy, a droga wznosi się coraz wyżej, śniegu jakby mniej. W jakiś czas po zapadnięciu ciemności decydujemy się na nocleg. W trakcie rozbijania namiotu słyszymy szybko zbliżający się ryk silników – to nadjeżdża potężny, rosyjski *ural*. Kierowca zgadza się zabrać nas w stronę kopalni, tak więc po szaleńczym załadowaniu rzeczy do ciężarówki ruszamy. Jazda trwa kilka godzin, w czasie których pokonujemy niewielki dystans, a ogromny *ural* ma spore kłopoty z wielometrowymi zaspami. Po jakimś czasie, gdzieś około 22-23, dogania nas mniejszy pojazd. Okazuje się, że jest to specjalny rosyjski wynalazek, skonstruowany na potrzeby szybkiego przedzierania się przez bagna i śniegi. Jedzie nim nie kto inny, jak Generalny Dyrektor kopalni *Żielannaja*, który szybko poleca nam przerzucić bagaże na jego pojazd. Twierdzi, że z nim pojedziemy znacznie szybciej. Okazuje się, że mamy spore szczęście,

bo Dyrektor jedzie na kontrolę do kopalni, która ma miejsca średnio raz na dwa miesiące. W niesamowitym tempie pokonujemy 100 km, docierając nad ranem do zbiorowiska kilkudziesięciu rozwalających się baraków. Dyrektor umieszcza nas w jednym z nich, a na moje nieśmiałe próby jakiegokolwiek finansowej rekompensaty odpowiada krótko, że niczego nie przyjmie, bo *Pomagać nada, wsio normalna*. Przenoszenie, rozpakowanie, rozmowa i jedzenie zajmują kolejne godziny. W końcu, około 5. nad ranem, kładziemy się do snu.

Sobota, 5 marca 2011. Przedpołudnie budzi nas piękną pogodą. Jednak by ją poczuć, trzeba wyjść na zewnątrz, gdyż w baraku, zasypanym z zewnątrz śniegiem aż po dach, panują egipskie ciemności. Postanawiamy spędzić dzień na przechadzce po okolicznych obłych kształtach pierwszych pasm Uralu. Magdzie niemal siłą przykazujemy zostać w kopalni, tak, by choć trochę zaleczyła kaszel, odpoczęła i przygotowała organizm na kolejne trudy. Dzień mija szybko.

Niedziela, 6 marca 2011. O świcie zrywamy się z łóżek i przenosimy bagaże na ciężarówkę, gdyż Dyrektor stwierdził, że podwiezie nas kawałek w stronę gór. Droga mija szybko, w końcu pozostajemy sami w śnieżnym pustkowiu. Nareszcie temperatura zaczyna przypominać tę polarną – jest około -25 °C. Szybko znajdujemy miejsce na obóz, gdzie zostawiamy lwią część rzeczy, zabierając ze sobą po plecaku z zapasem jedzenia na cały dzień. Postanawiamy nie tracić czasu i jeszcze tego samego dnia zaatakować Narodnąę. Osiem kilometrów drogi dłuży się z powodu wielkich pól świeżego śniegu, w których (mimo rakiet) zapadamy się po kolana. Wznosimy się coraz wyżej, niebieski, bezchmurny horyzont zatacza coraz to większe koło. Narodnąa rośnie w oczach, w końcu zaczynamy właściwe podejście. Gna nas wściekła determinacja i w końcu udaje się! Widoki zachwycają, zdaje się nam, że stoimy w sercu innej planety, tak niezemski jest krajobraz wszędzie wokół. Dziękuję Bogu za tę chwilę triumfu. Jest ciepło, tylko -17 °, -19 °C, chwila na szczycie przedłuża się, ale w końcu decyduje rozśadek, bo słońce powoli zachodzi za horyzont, a przed nami długa droga na dół. Do namiotu docieramy po zapadnięciu głębokich ciemności. Wysiłek włożony w jego rozstawianie, w przyrządzanie posiłku i w oporzadzanie obozowiska jest jakby daleki, nierealny, a magia kończącego się dnia wciąż trzyma mnie na szczycie, gdzie stojąc pod firmamentem głębokiego błękitu, granatu wręcz, a ponad falującymi delikatnie obłokami zmrożonego lodu, otulającymi głębokie doliny północnego Uralu, czułem, naprawdę czułem, że oddycham, Kocham, jestem i żyję.

Cdn.

Krzysztof R. Mazurski

Lalibela – kościoły w skale

Świat nasz pełen jest cudów – tak przyrody, jak i rąk ludzkich. Nic dziwnego, że trudno wiedzieć o wszystkich, a tym bardziej znać je. Do tych mało znanych, acz od 1978 r. znajdujące się na Liście Światowego Dziedzictwa UNESCO, należy etiopska miejscowość Lalibela, a właściwie powstałe w niej kościoły. Co jakiś czas światowa społeczność ustala zestaw największych osobliwości i dokonań cywilizacyjnych, zwany potocznie współczesną listą siedmiu cudów świata. Tylko siedmiu, więc całe mnóstwo innych pozostaje poza nią, stąd przypisywanie się części z nich jako ósmego cudu. Tak jest i z Libelą, która śmiało mogłaby zastąpić figurę Chrystusa znad Rio de Janeiro, zawdzięczającą swoją pozycję li tylko internetowej sprawności Brazylijczyków.

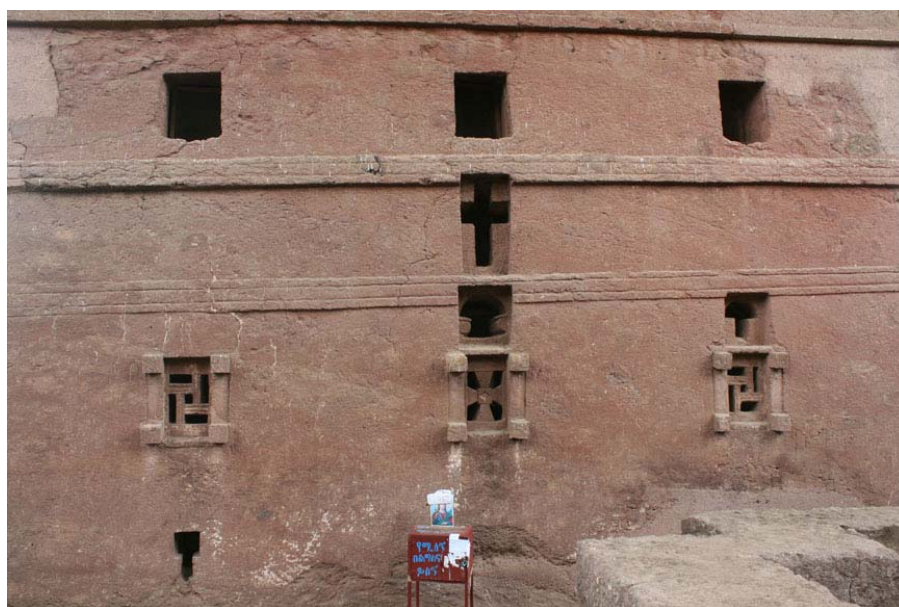
Na przełomie XII/XIII w. panował nad ziemiami w okolicach miasteczka Roha – szumnie nazywanymi królestwem, a przez niektórych nawet cesarstwem, król Lalibela (1185-1225). Jego imię oznacza *Pszczółki uznały jego władzę*, jako że te mądre owady otoczyły go w niemowlęctwie, co uznano za proroczą przepowiednię wielkiego panowania. Tereny te rozciągają się na wysokości około 2600 m w północnej Etiopii, w górach Lasta na zachód od jeziora Tana. Jest to pofałdowane silnie pogranicze Wyżyny Abisyńskiej i Kotliny Danakilskiej. To fakty – dalej funkcjonują w zasadzie tylko legendy i domysły. Najważniejszy przekaz mówi o poleceniu Boga odtworzenia przez Lalibelę skalnej Jerozolimy. Król przystąpił do pracy, a właściwie organizacji. Przez dwadzieścia lat 40 tys. osób kuło w skale



Biete Medhane Alem i modlący się na zewnątrz wierni

dojścia do poszczególnych kościołów. Następnie z prostopadłościanów, tkwiących pośrodku, wykuto kościoły – z korytarzykami, obejściami, oknami, filarami, jak w normalnych budowlach. Zyskały one liczne dekoracje o charakterze płaskorzeźb czy ozdób elementów architektonicznych, nawiązujące do miejscowej tradycji. Spotyka się często krzyże, w tym jako otwory, różnego kształtu: typowego, greckiego, maltańskiego czy swastyki aryjskiej.

Do niedawna znano jedenaście kościołów w dwóch



Różne formy krzyży



Polichromie z czasu powstania kościołów

kościół, ale nie w bok, w ścianę czy górę, co spotkać można w wielu krajach świata, ale w głąb skały! Fakt, że nie jest ona najtwardsza, stanowi ją bowiem silnie spetryfikowany tuf wulkaniczny, czerwony w barwie, niemniej kucie w głąb po kilkanaście metrów, w dodatku kilkaset lat temu, należy uznać za coś osobliwego i nadzwyczajnego. Być może, w dziele tym pomagali Egipcjanie, posiadający przecież ogromne doświadczenie w obróbce skał. Wąskie przestrzenie oddzieliły potężne bloki od macierzystej skały, wykuto także łączniki i

nieodległych ugrupowaniach, ale odkryto kolejny, choć mocno zniszczony. U wejścia do głównego kompleksu wznosi się jako jedyny na powierzchni Biete Medhane Alem (kościół Odkupiciela Świata). Jest to największy monolityczny kościół na naszej planecie, posiadający 11,5 m wysokości i zajmujący 800 m². Wykonano w jego wnętrzu aż trzydzieści osiem kolumn. Ochrania go obecnie prowizoryczny dach do czasu znalezienia przez ekspertów stosownego rozwiązania. Największym jest natomiast Biete Emmanuel o zaiste imponujących, jak na to miejsce,



Wąskie przejścia między kościołami

miejsca w dotychczasowych kompleksach, Biete Giyorgis powstał nieco na uboczu, ale dzięki temu można go doskonale podziwiać od samej krawędzi – chronionej, bo poniżej jest 15 m przestrzeni!

Kościoły są ciągle użytkowane (chrześcijaństwo jest tu obecne od IV w.), wierni Autokefalicznego Ortodoksyjnego Kościoła Etiopskiego, który cesarz Hajle Selasje odłączył od aleksandryjskiego patriarchatu koptyjskiego, mieszają się z coraz liczniejszymi turystami. Nie mają oni łatwe-

wymiarach, a mianowicie 33 m długości, 12 m wysokości i 23 m szerokości. Bodaj największe zainteresowanie budzi jednak Biete Giyorgis (kościół św. Jerzego, *nota bene* patrona Etiopii). Kolejna legenda mówi o tym, że po zakończeniu prac nad jedenastoma kościołami ów święty wypomnił królowi, iż jemu nic nie wybudował. Tak więc skruszony Lalibela, które imię przybrała wkrótce miejscowość, nakazał wykucie dwunastej świątyni. Jako że nie było już



Płaskorzeźba w kaplicy niedostępnej dla kobiet



Biete Giyorgis – widok z góry

go życia, zresztą w całej Etiopii – natręctwo na różne sposoby (na konieczność zakupu podręcznika szkolnego, na chorego brata, na lekarstwo itp.) i żebractwo niemal powszechnie uprawiane, bardzo uprzykrzają poznawanie tego arcyciekawego kraju. No cóż, należy on do najbiedniejszych na świecie. Ciekawe, że wszyscy miejscowi przewodnicy wskazywali na Polaków jako na najlichnieszą nację tu przyjeżdżającą. Rzeczywiście, warto, a nawet trzeba, jeśli chce się uchodzić za prawdziwego globtrotera.

Krzysztof R. Mazurski

XXI Kongres NFI

W trzy lata po kongresie w Libercu, na którym autor został wiceprezesem Międzynarodowego Stowarzyszenia „Przyjaciele Przyrody” (Naturefriends International, NFI), odbyło się tradycyjne kolejne spotkanie w Grazu, stolicy Styrii – kraju związkowego Austrii. Wzięli w nim udział delegaci z osiemnastu krajów, reprezentujący dwadzieścia jeden organizacji (np. Belgia ma odrębne związki – flamandzki i waloński). W ostatniej chwili PTTK, które jest członkiem NFI od 2002 r., skierowało Mariana Juraka – członka ZG PTTK i prezesa Oddziału Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, i Pawła Miśkowca – prezesa Oddziału Akademickiego w Krakowie.

Pierwszy dzień – 29. października, to ostatnie posiedzenie Zarządu NFI, natomiast następnego dnia odbyła się duża konferencja z uczestnictwem mieszkańców Grazu, poświęcona problematyce zmian klimatycznych oraz ich relacji i wpływowi na turystykę zimową. Sobota 1. października została przeznaczona na sprawy statutowe, a więc zmiany w statucie, sprawozdania, dyskusję nad wnioskami i wybory nowych władz. Przebiegało to bardzo sprawnie mimo światowego już charakteru organizacji. W jej skład przyjęto jako pełnoprawnego członka Togo (dotąd był Senegal), a uczestniczyło w charakterze obserwatorów kilkanaście osób z Afryki. Dość do tego trzeba pokazać ilość luźno stowarzyszonych organizacji i klubów z innych kontynentów.



Prezydium Kongresu (od lewej): Christian Baumgartner, Manfred Pils, Petra Müller (Niemcy), Michelle Davieau (Francja) i Leo Gruber (Szwajcaria)



Fragment sali obrad (Hotel Novapark)

Prezesem wybrano ponownie Manfreda Pilsa z Austrii, a Christian Baumgartner nadal jest sekretarzem generalnym. PTTK nikogo nie zgłosiło do władz, mimo iż jest ono trzecią co do wielkości organizacją w NFI – po Niemczech i Austrii. Delegaci PTTK wykorzystali natomiast okazję do dokładniejszego zapoznania się z pracą NFI i nawiązania osobistych kontaktów z przedstawicielami innych krajów. Miejmy nadzieję, że odbije się to korzystnie na wzajemnej współpracy dla dobra wszystkich członków PTTK. Następny Kongres – tym razem za cztery lata, ma odbyć się w Maastricht (Holandia).

Przy pięknej pogodzie odbył się w niedzielę krajoznawczy spacer po pięknym Grazu, wpisanym na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO, a który kilka lat temu był Europejską Stolicą Kultury – jak najbardziej zasłużenie!

Wieża zegarowa – symbol Grazu



Anna Rotko

Na rajdowym szlaku

Tegoroczny XXIX Ogólnopolski Rajd Górski Przewodników PTTK pod hasłem „BESKID NISKI 2011” zorganizowany był przez Koło Przewodników przy Oddziale PTTK „Beskid” w Nowym Sączu w dniach 27-31 sierpnia. Baza rajdu znajdowała się w sympatycznym, dużym Ośrodku Wczasów Rodzinnych „Zacisze” w Wysowej. Pięknie położona Wysowa Zdrój przywitała nas 27 sierpnia, w sobotę, ładną pogodą, która sprzyjała nam przez wszystkie dni Rajdu. Po obiedzie wyruszyliśmy na spacer po Wysowej. Spotkanie z księdzem prawosławnym w cerkwi obecnie prawosławnej, a wybudowanej w 1779 r. jako grekokatolicka, p.w. św. Michała Archanioła przybliżyło nam tematykę bogatej, często trudnej historii Łemkowszczyzny. Cerkiew zachwyca oryginalnym, kompletnym ikonostasem z XVIII w. Drugim obiektem sakralnym, który zwiedziliśmy, był stojący nieopodal kościół rzymskokatolicki NMP Wniebowziętej. Oba kościoły, prawosławny i katolicki, leżą na Szlaku Architektury Drewnianej. Ksiądz proboszcz, który opowiedział nam dzieje kościoła, nazajutrz rano odprawił w bazie Rajdu mszę świętą dla jego uczestników.

Skarbem miejscowości są wody mineralne o ogólnej nazwie „Wysowianka”, czerpane z ujęć o różnych imionach: Henryk, Franciszek, Anna, znajdujących się w prawie stuletnim Parku Zdrojowym, rozlewnych kuracuszom i nam na degustacji, w malowniczym Domu Zdrojowym. Woda „Wysowianka” towarzyszyła nam na trasach Rajdu. Organizatorzy zadbali abyśmy się nie odwodnili!

Po kolacji nastąpiło spotkanie wszystkich, ok. 160 uczestników. Powitanie, tym serdecznym i tym oficjalnym, nie było końca! Uroczystego otwarcia Rajdu, którego komandorem był kolega Wiesław Piprek, a wicekomandorem koleżanka Dominika Kroczek, dokonał Stanisław Kawęcki, przewodniczący Samorządu Przewodnickiego i Komisji Przewodnickiej ZG PTTK. Przedstawiono nam przewodników, którzy mieli towarzyszyć nam przez następne dni. Oprawą artystyczną wieczoru była pięknie opowiedziana przez łemkowską pieśniarkę, Julię Doszną, historia Łemkowszczyzny i miejscowości Łosie, której to mieszkanką jest Pani Julia. Nastrój żalu i nostalgii, towarzyszącymi Łemkom od lat, wyraziła w pieśniach i piosenkach wykonanych przy akompaniamencie Mirosława Bogonia.

Na drugi dzień (28 sierpnia, niedziela) rozpoczęliśmy już rajdową wędrówkę. Połączoną grupą A+B wyruszyliśmy z naszej bazy, czyli ośrodka „Zacisze”, leżącego w Dolinie Łopacińskiego i zielonym szlakiem powędrowaliśmy w dół, w kierunku centrum Wysowej. Po przekroczeniu rzeki Ropy już stopniowo pod górę. Najpierw święta Góra Łemków – Jawor (722 m), gdzie znajduje się od roku 1929 sanktuarium, pierwotnie greckokatolickie, a obecnie prawosławne. Trafiliśmy na uroczyste nabożeństwo z okazji święta zaśnięcia Matki Bożej. Trochę posłuchaliśmy pięknego śpiewu liturgicznego, napiiliśmy się wody z cudownego źródła i poszliśmy dalej. Od Góry Jawor aż do Lackowej już cały czas wzdłuż granicy ze Słowacją. Przez Przełęcz Cigielka (807 m) na Ostry Wierch (930 m). I przy zejściu do Przełęczy Pułaskiego (743 m) ten Wierch okazał się naprawdę ostry, i do tego kamienisty! Z przełęczy kolejne podejście i jesteśmy na Lackowej (997 m), najwyższym szczycie Beskidu Niskiego, po polskiej stronie. Lackowa jest tak zarośnięta lasem, że nie stanowi obecnie żadnego punktu widokowego. Kiedyś było inaczej. Przy dużym zaludnieniu i intensywnej gospodarce rolnej, wypasach była i owiec, szczyty nie były zalesione i można było podziwiać piękne okolice. Po wyrażeniu radości z osiągniętego celu w tył zwrot i powrót tym samym szlakiem do Ostrego Wierchu! A z Wierchu już łagodnym, malowniczym szlakiem do Huty Wysowskiej i drogą do Wysowej, i znów przez piękny Park Zdrojowy do bazy. Dzień był udany, a jeszcze wysłuchaliśmy niezwykłego koncertu pod tytułem „Muzyka Karpat”, w wykonaniu rodzinnego zespołu przewodnika beskidzkiego, Wojtka Boguckiego z Podegrodzia. Gawędy o ludziach i kulturze Karpat, o instrumentach ludowych, piękna gra i piosenki długo pozostaną w naszej pamięci.

Kolejny dzień Rajdu (29 sierpnia, poniedziałek) był dla naszej grupy ulgowy. Wyruszyliśmy na wycieczkę autokarową po pięknym beskidzkim terenie. Objeżdżając okolicę, kol. Dominika przybliżała nam sylwetki mijanych miejscowości (Uście Gorlickie, Łosie, Grybów, Gorlice, Biecz, Małastów) nawiązując do historii tego regionu, do zaboru austriackiego, do czasów I i II wojny światowej, do okresu powojennego, tak bolesnego dla Łemków. Pamiątką po I wojnie światowej są Cmentarze Wojenne (jest ich ponad 400), na których pochowani są żołnierze różnych narodowości. My zatrzymaliśmy się przy jednym z piękniejszych i chyba najczęściej odwiedzanych, Cmentarzu Nr 60 położonym na Przełęczy Małastowskiej, zaprojektowanym przez Dušana Jurkoviča. Napis na głównym pomniku brzmi tak:

*„Pomnij przechodniu, wchodząc w to obejście,
Że ziemia setki poległych tu grzebie,
Co młode życie oddali w potrzebie,
By nam zapewnić dziś wolność i szczęście”.*

Ciekawą historię, tym razem z czasów II wojny światowej poznaliśmy przy pomniku i tablicach informujących o siedmiu polskich lotnikach załogi samolotu Halifax z eskadry do zadań specjalnych RAF, zestrzelonego 28.08.1944 r. przez niemieckiego myśliwca nad Banicą koło Krzywej. Samolot ten



Cmentarz Wojenny na Rotundzie

wystartował we Włoszech i wracał z akcji zrzutów pomocy dla powstańców warszawskich. Całe to zdarzenie dopiero kilka lat temu zostało rozwikłane i dokładnie opisane. Niezwykle było spotkanie w najlepiej zachowanej, dawnej greckokatolickiej cerkwi z XVII w, p.w. św. Paraskewy w Kwiatoniu, gdzie miejscowy znawca historii i kultury przybliżył nam sylwetkę świątyni, z dokładnym omówieniem ikonostasu i specyfiki kościoła prawosławnego i greckokatolickiego. Obecnie ta zabytkowa cerkiew służy kościołowi rzymskokatolickiemu. Byliśmy także w Sękowej, gdzie obejrzelśmy kolejną zabytkową świątynię z ok 1520 r., kościół



Baza Namiotowa w Regietowie

wnętrzu ula, poznając dokładniej jego tajemnice! W kompleksie znajduje się też mini-zoo i ciekawy ogród zielny. Miłym akcentem było spotkanie w „Bartnej Chacie” z właścicielami obiektu oraz degustacja miodów pitnych i piwa miodowego.

Po powrocie do „Zacisza” czekała na nas, jak zwykle, smaczna obiadokolacja. A potem miły wieczór przy gitarze, poezji śpiewanej (m. in. Jerzego Harasymowicza, Wojciecha Bellona, z Beskidami w tytule), piosenkach biesiadnych i rajdowych.

I przyszedł ostatni dzień (30 sierpnia, wtorek) naszej wędrówki rajdowej. Znow przywitała nas ładna pogoda. Autokar podwiózł naszą połączoną grupę A+B do Zdyni, miejscowości gdzie przed wiekami odbywały się (9 razy w roku) słynne zdyńskie jarmarki, a obecnie coroczny festiwal „Łemkowska Watra”. Udaliśmy się na miejscowy cmentarz parafialny, gdzie pochowane są szczątki Maksyma Sandowicza, uznanego w 1984 r. za świętego prawosławnego. Tutaj też znajduje się kwatera z Cmentarzem Wojennym Nr 52, projektu Dušana Jurkoviča. Zdynia przyniosła pecha jednej z naszych rajdowiczek, która na niewielkiej pochyłości złamała sobie nogę (do tej pory jeszcze słyszę trzask!). Koleżanka trafiła do szpitala, a my powędrowaliśmy czerwonym szlakiem na Rotundę (771 m), gdzie na płaskim szczycie znajduje się kolejny Cmentarz z czasów I wojny światowej, Nr 51, również projektu Dušana Jurkoviča. Po krótkim posiedzie schodzimy dalej czerwonym szlakiem w dół, odwiedzając po drodze Studencką Bazę Namiotową SKPB Warszawa. Warunki w bazie typowo rajdowe, rozsiadamy się wokół ogniska, słuchając opowieści naszych przewodników. Miło się siedzi, ale kolejny obiekt, który mamy w planie, jest również ciekawy. Dochodzimy do drogi i zbacząc z czerwonego szlaku odwiedzamy Stadninę Konia Huculskiego Gładyszów w Regietowie, istniejącą w tym miejscu, (w zaadaptowanych budynkach po owczarniach) od 1993 r., a przeniesioną z Siark/Gorlic. Obecnie jest to największa stadnina konia rasy huculskiej w Europie, ze stanem ok. 300 koni, ceniona nie tylko w kraju. Jednym z najbardziej zasłużonych reproduktorów w hodowli konia tej rasy był srokaty ogier Jaśmin (1976-2006). Został symbolem stadniny, ale i wspaniałych cech użytkowych tych niewielkich koni – siły, wytrzymałości, małych wymagań, odporności na choroby, ogromnej



W Stadninie Koni Huculskich Gładyszów

katolicki św. Filipa i Jakuba, wpisany w 2003 na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Oba te kościoły leżą na Szlaku Architektury Drewnianej.

Dużą atrakcją tego dnia były odwiedziny w Gospodarstwie Paśmianym „Sądecki Bartnik” p. A. i J. Kasztelewiczów w Stróżach, unikalnym kompleksie pszczelarstwo-turystycznym. Zwiedziliśmy tutaj, z doskonałą panią przewodnik, największe w Europie prywatne Muzeum Pszczelarstwa im. Bogdana Szymusika, gdzie prześledzić można historię pszczelarstwa dzięki dużej kolekcji uli figuralnych i sprzętu do pozyskiwania miodu. Można też odbyć multimedialny spacer po

inteligencji, umiejętności współpracy i przyjaźni z człowiekiem. Koników nie zobaczyliśmy zbyt wiele, gdyż przebywały na pastwiskach, a po stadninie oprowadzała nas ich sympatyczna miłośniczka.

Kontynuacją dnia był powrót drogą do czerwonego szlaku i dość strome podejście na Kozie Żebro (847 m), ostatni już szczyt na naszym Rajdzie. Zejście zielonym szlakiem do Doliny Łopacińskiego i do naszej bazy, i żal, że kończy się nasze wspólne wędrowanie po Beskidzie Niskim.

I nadszedł czas podziękowań i pożegnań czyli zakończenie Rajdu, i oficjalne, i to serdeczne od braci przewodnickiej. Jak to zwykle bywa Uczestnicy wręczali Organizatorom, oprócz słów podziękui, upominki często charakterystyczne dla regionu skąd przybyli. Sympatycznym akcentem było przekazanie Kołu Przewodników z Nowego Sącza symboli Rajdów Górskich, czyli ciupagi i kapelusza góralskiego, w dowód uznania za doskonale zorganizowany i przeprowadzony Rajd, aby godnie mogli przez rok chlubić się tymi insygniami. Przez cały ubiegły rok, z szacunkiem, trzymali je w swojej pieczy przewodnicy sudeccy z Dolnośląskiej Federacji Przewodnickiej PTTK i z Koła Przewodników „Rzepiór” we Wrocławiu, organizatorzy ubiegłorocznego rajdu w Karkonoszach, w tym autorka tychże wspomnień.

Aneta Augustyn

Policzono trasy turystyczne w woj. dolnośląskim

Nasz region jako pierwszy w kraju policzył wszystkie swoje trasy turystyczne: mamy ich aż 15 tys. km. We wrześniu została otwarta kolejna – niemal 60-kilometrowy szlak konny w Borach Dolnośląskich, z zamku Kliczków do Bogumiłowa. Trasy zinwentaryzowała Dolnośląska Organizacja Turystyczna. Okazało się, że gdyby ich siatkę nałożyć na mapę regionu, byłaby ona bardzo gęsto pokryta. – To pierwsze takie przedsięwzięcie w kraju, więc nie mamy skali porównania, ale nie ma wątpliwości, że jesteśmy wyjątkowo bogaci w szlaki. – mówi Rajmund Papiernik, dyrektor DOT. – Zwłaszcza w rowerach jesteśmy potęgą. Mamy 4564,9 km tras rowerowych, 2691 km pieszych, 1447 km wodnych, 3814,4 km samochodowych, 1276 km motocyklowych, 1035 km konnych i 291,593 km narciarskich. W sumie 15.119,893 km, z których najkrótsze to ledwie 300-metrowe trasy dla narciarzy, a najdłuższe – kilkusetkilometrowe trasy samochodowe.

Pod hasłem „trasa” rozumiemy atrakcyjny odcinek drogi, po którym można się poruszać i który jest wytyczony za pomocą tablic, znaków albo nawet tylko elektronicznie, w systemie GPS. – tłumaczy Papiernik. Obiecuje, że będzie sprawdzał, które z nich są dostępne dla niepełnosprawnych. Najbardziej uczęszczane są Karkonosze, turystyczny numer jeden Dolnego Śląska. – Ale nawet miejsca długo uważane za niezbyt turystyczne, jak np. okolice Legnicy, Polkowic, Głogowa, stały się bardzo atrakcyjne dla rowerzystów. – dodaje Papiernik. Sam wiosną przejechał motocyklem pętlę dokoła Dolnego Śląska – 800 km – Stale odkrywałem jakieś ciekawostki, jak choćby przeprawa przez Odrę w Chobieni, gdzie na drugą stronę rzeki przedostałem się starym promem bez silnika, który wykorzystuje tylko siłę nurtu. A droga z Chobieni do Głogowa wygląda jak z amerykańskich filmów: bezkres po horyzont, zupełna pustka. – opowiada. Przyznaje, że na dolnośląskich trasach brakuje jednak infrastruktury: miejsc do cumowania dla wodniaków, wiat, koszy, stołów. Szybko rozwija się turystyka wodna – na Nysie, Kwisie, Odrze widać coraz więcej kajakarzy. Przybywa także tras konnych: w weekend została otwarta kolejna. 59-kilometrowy odcinek z zamku Kliczków do Bogumiłowa w całości biegnie przez Bory Dolnośląskie (także przez most na Kwisie). – Jest bardzo malownicza, sam przejechałem konno fragment. Nie jest szczególnie trudna, z wyjątkiem kilku niewielkich wzniesień oraz miejsc, w których krzyżuje się z drogami o sporym nasileniu ruchu drogowego. – przekonuje Jerzy Ludwin, prezes Fundacji Bory Dolnośląskie. – Przygotowaliśmy miejsca na popas, gdzie można rozkulbaczyć konie i usiąść przy stołach. Na trasie są też miejsca noclegowe i stajnie. Na całej drodze można spotkać ślady dawnych domostw wysiedlonych stąd Serbołużyczan i Niemców.

Po gospodarstwach zostały tylko nazwy na mapie i stare drzewa owocowe. Oznaczony pomarańczowym symbolem na białym tle szlak jest pierwszą z tras konnych, które mają udostępnić Bory miłośnikom jazdy konnej. Został podzielony na dwa etapy: Kliczków – Kościelna Wieś (28 km), z trzema

punktami popasowymi w gospodarstwach agroturystycznych. Drugi etap prowadzi z Kościelnej Wsi do Bogumiłowa (31 km), również z trzema punktami popasowymi w gospodarstwach. Atrakcjami na nowym szlaku są: cmentarz koni przy zamku Kliczków, zalew na rzece Czerna Mała z plażą i możliwością pławienia koni i aleja starych dębów koło miejscowości Borowe.

Źródło: www.dolnyslask.info.pl

Od Redakcji: A gdzie się podziało PTTK?!

PROTOKÓŁ POSIEDZENIA JURY XX OGÓLNOPOLSKIEGO PRZEGLĄDU KSIĄŻKI KRAJOZNAWCZEJ I TURYSTYCZNEJ

Jury XX Ogólnopolskiego Przeglądu Książki Krajoznawczej i Turystycznej obradowało 17 i 18 września 2011 roku w siedzibie poznańskiego oddziału PTTK pod przewodnictwem Wiesława Ostrowskiego (Warszawa).

Do konkursu rekomendowano publikacje nadesłane przez wydawców oraz zgłoszone zgodnie z regulaminem przez członków Komisji Krajoznawczej Zarządu Głównego PTTK i Wielkopolskiego Klubu Publicystów Krajoznawczych. Książki oceniano w pięciu kategoriach. Jury postanowiło przyznać następujące nagrody:

W KATEGORII – ALBUMY KRAJOZNAWCZE: Grzegorz Bobrowicz, *Polska dzika przyroda*; Wydawnictwo ARKADY Sp. z o.o. za wysoki poziom zdjęć, znakomitą szatę edytorską i artystyczny zapis istotnego elementu dziedzictwa narodowego. *Lubelszczyzna – środowisko przyrodnicze i dziedzictwo kulturowe*; praca zbiorowa, Wydawnictwo Pietrzak za wielostronną prezentację walorów przyrodniczych i kulturalnych regionu, Józef Ambrozowicz, Stanisław Kłos; *Magiczne Podkarpacie*; Agencja Wydawnicza JOTA za staranne opracowanie edytorskie i nastrojowe ujęcia ukazujące oryginalne piękno regionu.

W KATEGORII – PRZEWODNIKI: Izabela i Tomasz Kaczyńscy, *Cystersi w Polsce*; MUZA S.A. za umiejętne połączenie bogatej treści historycznej z informacjami praktycznymi, prezentację ważnych europejskich szlaków kulturowych w Polsce oraz atrakcyjną formę edytorską. *Szlak architektury drewnianej. Małopolska*; praca zbiorowa; Urząd Marszałkowski Województwa Małopolskiego, Departament Promocji i Turystyki, Zespół ds. Turystyki za wysokie walory edytorskie wykorzystujące różnorodne formy przekazu szlaku zanikającej architektury drewnianej i podjęcie specjalistycznego tematu. Janusz Czerwiński, *Wrocław. Przewodnik*, Wydawnictwo Kartograficzne EKO-GRAF sp. z o.o. Wrocław za nowoczesną formę edytorską, funkcjonalność, szczegółowe i rzeczowe informacje.

W KATEGORII – MONOGRAFIE I INNE OPRACOWANIA KRAJOZNAWCZE: Marian Pokropek, *Ludowe tradycje Suwalszczyzny*; Regionalny Ośrodek Kultury i Sztuki w Suwałkach za wysoki poziom edytorski i pionierską popularyzację wielowątkowej kultury Suwalszczyzny. Ivo Łaborewicz, Przemysław Wiater; *Szklarska Poręba*; Związek Gmin Karkonoskich Bukowiec za rzetelność zawartych informacji o jednym z najważniejszych ośrodków turystycznych kraju, w oparciu o bogate materiały źródłowe. Jerzy Sobczak, *Duchy w polskich zabytkach*; Muza S.A. za podjęcie unikatowego tematu zachęcającego do odwiedzenia miejsc opisywanych.

W KATEGORII – MAPY I ALTASY: *Okolice Trójmiasta 1:50.000*, praca zbiorowa; ExpressMap Polska Sp. z o.o. za czytelność, trwałość i łatwość użytkowania poparte bogactwem informacji krajoznawczych. *Puszcza Pyzdrska*, praca zbiorowa, Artem Janusz Malinowski za precyzyjny rysunek, obfitość treści zaprezentowanej w czytelnej formie. *Małopolska nad wodą*, praca zbiorowa; Gazeta Krakowska za czytelne przedstawienie użytecznych treści w praktycznej formie.

W KATEGORII – INFORMATORY KRAJOZNAWCZE I FOLDERY: Seria wydawnicza Małopolska: Joanna Darnowska-Łukaszewska, *Inspirowane tradycją*; praca zbiorowa, *Święta tradycje, zwyczaje*; Piszczkiewicz Katarzyna, *Zakupy z tradycją*; Departament Promocji i Turystyki Urzędu Marszałkowskiego Województwa Małopolskiego. Zespół ds. Rozwoju Turystyki za zestaw publikacji w barwnej i ciekawej formie zachęcający do poznawania różnorodnych walorów regionu. Marta Kapusta – Wesołowska, *Rodzinny Kraków*, Urząd Miasta Krakowa za prezentowanie niektórych walorów krajoznawczych miejscowości zachęcające do rodzinnego ich poznawania. Zbigniew Szmidt, Seria folderów: *Spacer po Śremie, Spacer po Książu Wielkopolskim, Spacer po Dolsku, Spacer po Brodnicy*; Unia Gospodarcza Regionu Śremskiego – Śremski Ośrodek Wspierania Małej Przedsiębiorczości za wygodny format i komunikatywność przekazu i właściwą formę edytorską.

Tomasz Kowalik

Podręcznik dla krajoznawcy i turysty przyrodnika

CZY KRAJOZNAWCA PÓJDZIE W LAS?

*...i gdy człowiek wejdzie w las, to nie wie, czy ma lat pięćdziesiąt, czy dziewięć,
patrzy w las jak w śmieszny rysunek i przeciera ośleplę oczy,
dzwonek leśny poznaje, cmentarz płoszy i na serce kładzie mech jak opatrunek.*

Konstanty I. Gałczyński „Kronika olsztyńska”, fragment cz. XIV.

Od czasu, kiedy „ogary poszły w las”, minęło wiele lat i do lasu zaczęli wchodzić liczni turyści oraz „turyści”. Nie każdy z nich ma wiedzę o przyrodzie lasu i niewielu poczuł szacunek dla niego. Przyznajmy to sami sobie: ze szkodą dla wielu tysięcy hektarów polskich terenów leśnych. Czy lasy przetrwają to, co nazywa się antropopresją – zobaczymy. Leśnicy bronią lasów „jak niepodległości”, nie tylko przed prywatyzacją, ale i przed amatorami „wszelkiej leśnej swobody”. Instalują nawet kamery do obserwacji zaśmiecanych terenów i drewna narażonego na kradzież. Wspomagają ich w tym obrońcy nie tylko leśnej przyrody, tradycyjnie sojusznicy także wielu krajoznawców. Kto wygra – nie sposób ocenić, zanim nie nastąpi jakaś klęska ekologiczna. A jest ich kilka – choćby zaśmieszenie, gradacja szkodników na czele z kornikiem drukarzem, złodzieje drewna, podpalenia czy kataklizmy naturalne – wichury, okiść lodowa, susza.

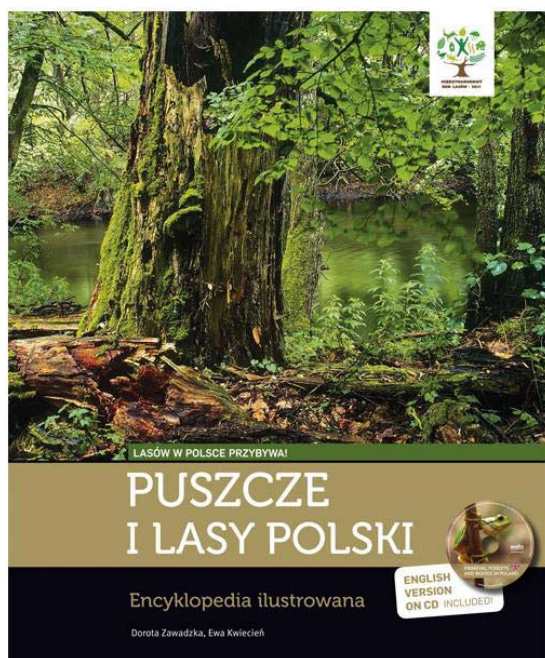
Minęło już dwadzieścia pięć lat od wydania książki *Puszcze, bory i lasy Polski** oraz w 2006 r. albumu**, w których znalazły się szczegółowe i bogato ilustrowane opisy puszczy, borów i lasów położonych w ośmiu polskich krainach przyrodniczo leśnych. Ich autorzy przypominają m.in. o rosnących w nich 21 gatunkach drzew rodzimych i 21 gatunkach pochodzących z Ameryki Północnej, o kolonizacji przez człowieka rozległych terenów leśnych, o podziale lasów na chronione (w tym parki narodowe, rezerваты i inne formy ochrony), oraz lasy gospodarcze. Ale w ciągu tych lat w lasach polskich następowały znaczne zmiany. W najnowszej, obszernej publikacji **Doroty Zawadzkiej i Ewy Kwiecień***** znajdziemy opisy przyrodnicze i informacje o roślinach i zwierzętach leśnych, o wielu formach ochrony przyrody leśnej, o związkach lasów z historią Polski. Nade wszystko jednak warto zwrócić uwagę na dużą porcję wiadomości o funkcjach społecznych polskich lasów, o leśnych atrakcjach krajoznawczych, turystycznych i ich walorach edukacyjnych. Wśród nich są liczne przykłady, wskazania i zachęty do poznawania osobliwości, atrakcji i walorów naszych lasów. To zalecenia istotne dla podnoszenia naszej kultury turystycznej i wiedzy przyrodniczej za pomocą rozmaitych form turystyki kwalifikowanej. Także przez amatorów zdobycia odznaki PTTK „Turysta Przyrodnik”. Książkę wypada uznać za podręcznik do poznania jego osobliwości i wiedzy przyrodniczej przed wycieczką do lasu, parku naro-

Dla krajoznawców i turystów godne polecenia są wydawnictwa albumowe i swoiste podręczniki, obecne w zbiorach wielu bibliotek krajoznawczych i turystycznych, takie jak:

* Ryszard Zaręba: *Puszcze, bory i lasy Polski*. wyd. 3 zmienione. PWRiL: Warszawa 1986, s. 204 z licznymi czarno-białymi ilustracjami.

** album *Puszcze, bory, lasy Polski*. OW Forest: Józefów 2006.

*** Dorota Zawadzka, Ewa Kwiecień: *Puszcze i lasy Polski*, encyklopedia ilustrowana, OW Multico: Warszawa 2011.



dowego czy wędrówką po leśnych ścieżkach przyrodniczych i edukacyjnych. Innymi słowy, za niezbędny przydatny dla początkującego, ale i zaawansowanego turysty przyrodnika.

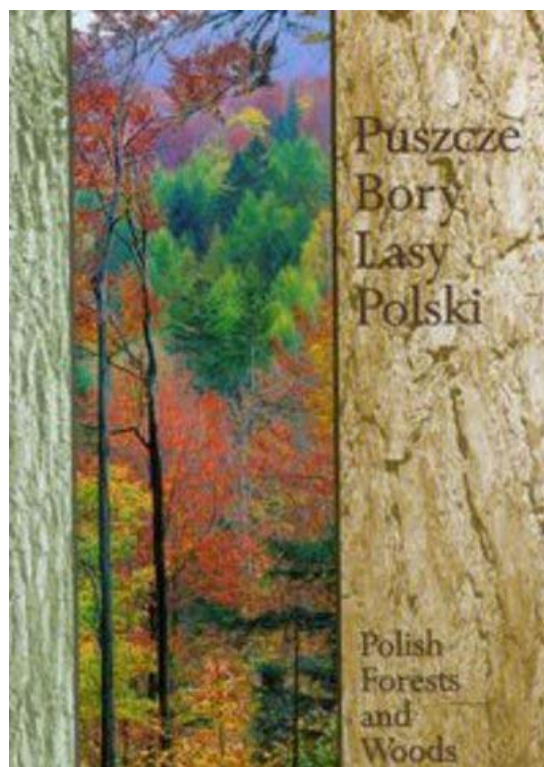
W treści najnowszej książki „Puszcze i lasy Polski” wydanej z okazji Międzynarodowego Roku Lasów 2011, są opisy pięćdziesięciu najcenniejszych kompleksów leśnych w Polsce. Są to tereny już znane wielu krajoznawcom, ale i nowe dla ich następców, dla krajoznawców uprawiających turystykę przyrodniczą. Na wyróżnienie i godne polecenia czytelnikom zasługują charakterystyki przyrodnicze polskich lasów, ich szata roślinna i świat zwierząt, a zwłaszcza formy ochrony przyrody. Znajdujemy w niej to wszystko, co istotne dla krajoznawcy i turysty przyrodnika ważne, atrakcyjne, godne dokładniejszego poznania. Wypada przypomnieć, że pierwszą wycieczkę przyrodniczą właśnie do lasów zorganizowało Polskie Towarzystwo Krajoznawcze 2.06.1907 r. od Łęgów nadwiślań-

skich w Gniewniewicach, do lasu i na wydmy, czyli do podwarszawskiej Puszczy Kampinoskiej. Wzięło w niej udział 387 osób, którzy do punktu wyjścia nad brzegiem Wisły dopłynęli statkami z Warszawy. Wycieczkę prowadzili Kazimierz Kulwiec, wiceprezes PTK, sekretarz Aleksander Janowski i Antoni Ojrzyński. Był to jeden z ważnych w polskim krajoznawstwie punkt początkowy zespołowej turystyki przyrodniczej.

Dlaczego i po co turystyka przyrodnicza, a więc także w polskich lasach? W porównaniu z wiekiem drzewa życie człowieka jest zwykle krótsze. To za mało czasu, aby poznać ogromne bogactwo przyrody, zjawisk, gatunków, osobliwości leśnych. Podobnie, jak „*nie od razu Kraków zbudowano*”, nie jest możliwe zdobycie wiedzy o całej przyrodzie leśnej, ale warto się starać. W PTTK jest wiele możliwości zbliżenia się do wszelakich form przyrody w czasie wycieczek czy imprez, przy okazji zdobywania odznak krajoznawczych, także odznaki „Turysta Przyrodnik”. W ciągu roku zdobywa ją ponad 3 tys. głównie młodych turystów. Pomagają im w tym przewodnicy i przodownicy odznak turystyki kwalifikowanej, nauczyciele i 350 instruktorów ochrony przyrody. Warto do nich dołączyć.

Ekoturystyka – to sposób poznawania przyrody, ale zarówno na terenach chronionych, jak i poza ich granicami nie może być zagrożeniem dla przyrody, jej różnorodności biologicznej, krajobrazu, kultury regionalnej. [To także konieczność zachowania zasad ekologicznych podczas całego wyjazdu turystycznego, również w odniesieniu do samego turysty – red.].

Ścieżki przyrodnicze (dydaktyczne, edukacyjne) to łatwo dostępne wyznakowane i dobrze opisane przez leśników szlaki dla turystyki przyrodniczej. Pomagają uprawiać turystykę przyrodniczą każdemu, nawet nieobeznanemu z terenem w lesie lub parku narodowym, poznać samodzielnie mnóstwo zjawisk i osobliwości przyrodniczych. W Lasach Państwowych jest ich ponad 750 takich ścieżek, na terenie Leśnych Kompleksów Promocyjnych jest ich około 130, a w istocie rzeczy w parkach narodowych za ścieżki przyrodnicze należy uznać wszystkie szlaki turystyczne o łącznej długości 3243 km. Dlatego zachęcam – warto podjąć trud sięgania po wspomniane wydawnictwa, żeby nasze wędrowanie przez polskie lasy było nie tylko ciekawe, ale także nasycone znajomością leśnej rzeczy. Las jest nasz, wspólny, ale czy taki będzie dla naszych następców? – starajmy się o to usilnie.



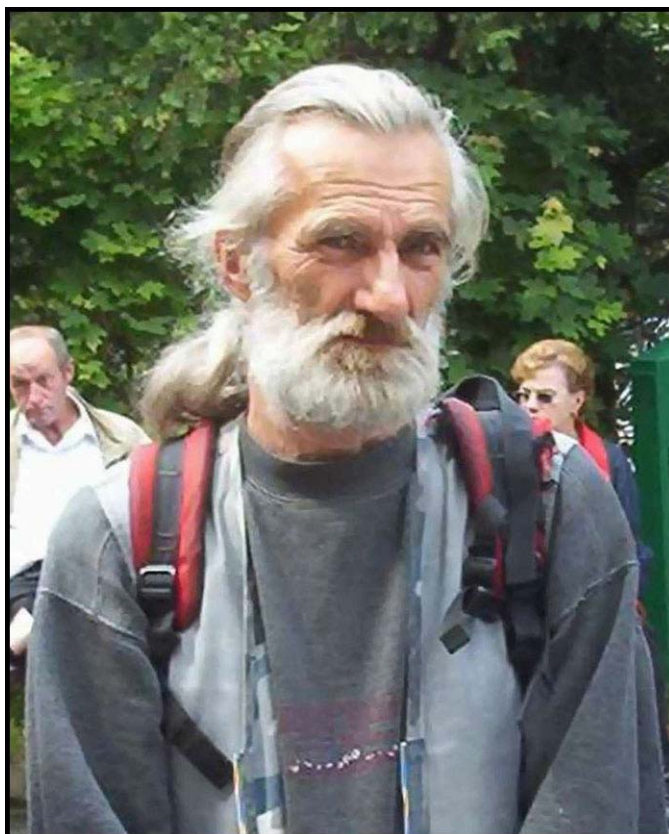
Krzysztof Tęcza

Wspomnienie o Stefanie Szczurowskim

To już pięć lat, jak odszedł od nas „Babcia” – Stefan Szczurowski. Przegrał nierówny pojedynek z rakiem. Ci, co go znali, wiedzą, że nie poddał się bez walki. Posiadał on zdolności, niezrozumiałe dla większości ludzi, które wykorzystywał w walce ze swoją chorobą. Okazały się one jednak zbyt małe.

Pożegnaliśmy go w październiku 2006 r. Był osobą znaną ludziom gór, więc na jego pogrzeb przybyło wielu jego znajomych i przyjaciół, a także zwykłych chatkowiczów, chcących oddać mu cześć. W sumie zebrał się na Jego ostatnim pożegnaniu spory tłumek. Byli także kole-dzy z GOPRu, gdyż przez wiele lat poświęcał się dla innych jako ratownik. Gdy złożyliśmy Jego prochy do grobu matki, nie było wspomnień w normalnym znaczeniu. Oczywiście wszyscy Go wspominali. Każdy czynił to jednak inaczej. Każdy bowiem inaczej Go znał i postrzegał. Każdy także był z Nim na innym stopniu zażyłości. Jednak wszystkich łączył smutek po utracie tak wspaniałego człowieka. Człowieka, który nieraz udowodnił, iż można czynić dobro dla innych ludzi. Człowieka, do którego można było zwrócić się o taką pomoc i który nie odmówił jej okazania. To właśnie ta Jego postawa zaskarbiła Mu u innych szacunek wyrażany w bezwzględny posłuchu podczas pobytu w „Chatce AKT”. Nikt nie ważył się podważać wydawanych przez Niego poleceń. Oczywiście nie ze strachu. Jego nie można się było bać. Wynikało to ze zwykłego ludzkiego szacunku. Ale pamiętajmy, na taki szacunek trzeba sobie zapracować. Niektórzy, pracując na to całe życie, i tak nie dojdą do pozycji, jaką „Babcia” miał u nas.

Muszę powiedzieć, że spotykałem się z Nim już dawniej. Piszę z Nim, ponieważ jest różnica między określeniem spotykałem się z Nim, a spotykałem Go. Zawsze tak jest, gdy ludzie często przebywają razem w górach, w warunkach nieraz ekstremalnych. Bo, pamiętajcie, góry zbliżają do siebie. Góry potrafią także zmienić zaciętych wrogów w najlepszych przyjaciół. Może właśnie dlatego „Babcia” tak umiłował sobie góry. Może dlatego był człowiekiem niezwykle uczynnym. Ale nie dotyczyło to tylko relacji międzyludzkich. On kochał wszystkie stworzenia. Kochał nawet rośliny. Podam tu przykład. Kiedyś musiałem coś załatwić w jeleniogórskim KRUSie i gdy podjechałem tam, zastałem „Babcie”, pracującego w tej instytucji, jak z pietyzmem głąskał jakieś kępki trawy. Zaciekawiony podszedłem do niego, by spytać, co On wyprawia. Stefan uśmiechnął się tylko i po przywitaniu zaczął opowia-



dać o świecie roślin. O tym, że rośliny, tak jak ludzie, czują i pragną ciepła. Dlatego stara się uratować usychające na trawniku roślinki. Nie wiem, czy one przeżyły, ale zapamiętałem tę sytuację i nie waham się przytaczać ją jako określenie Jego nastawienia do otaczającego nas świata.

Zresztą „Babcia” eksperymentował także na sobie. Pamiętam chyba nasze ostatnie już spotkanie. Doszło do niego w „Chatce AKT”, gdzie dotarłem, urywając się na chwilę z sanatorium. Gdy zjawiłem się w chatce, nie było tam zbyt wiele osób. Jednak na początku powstało małe poruszenie. Wchodząc, chciałem – jak to było przyjęte – zdjąć brudne obuwie. Wprowadzono tam bowiem obowiązek chodzenia w kapciach. Nie było od niego żadnych wyjątków. Przytoczę tu pewną sytuację, jaka wydarzyła się tam kiedyś. Był tłum ludzi, niektórzy zmęczeni wdrapywali się na stryszek, by pójść spać. Właśnie wtedy na ganek wyszedł Stefan. Zobaczywszy, że ktoś chce wejść na górę w butach, zawrócił go każąc je zdjąć. Ponieważ zaczepiony człowiek uważał się za kogoś ważniejszego (był to jeden z najstarszych wtedy stażem bywalców) odpowiedział do Babci: *No co ty! Ja mam zdejmować buty?* Na to Stefan: *A kim ty jesteś? Ty też masz obowiązek zdjąć buty!* Tak też się stało. Prywatnie powiem, że obaj doskonale się znali. Ale wracając do mojego spotkania. Gdy chciałem zdjąć obuwie, „Babcia” podszedł mówiąc: *Nie, nie zdejmuj butów. Chodź do nas, napij się herbaty.* Słowa te wywołały lekkie zaciekawienie. Nikt bowiem z tam przebywających nie pamiętał mnie, gdyż ładnych kilka lat już tu nie byłem. Ponieważ szykowano się właśnie do robienia smalcu, zaczęliśmy kroić słoninę, a gdy ta już skwierczała na patelni, spokojnie sobie rozmawialiśmy. „Babcia” zdradził mi wtedy, jak się czuje, opowiedział, co robią lekarze, by powstrzymać chorobę, ale dodał zaraz, jak wykorzystuje swoje zdolności, by samemu przeciwstawiać się rakowi. Widać było, że stara się nie załamywać. Później temat rozmowy zszedł na bardziej prywatny grunt. Zdradził mi informacje o tym, że postanowił zmienić swoje życie. Nie chciał być dalej sam. Jednak starał się tego nie upubliczniać. Aby nieco osłodzić tę naszą rozmowę, poczęstowałem wszystkich przyniesioną gorzką czekoladą.

Powyższe wspomnienia wtrąciłem tylko po to, by przybliżyć, iż „Babcia” był w końcu takim samym człowiekiem jak my. Miał swoje marzenia i ideały. Potrafił jednak je czasami naginać, by pomóc innej osobie. Nic zatem dziwnego, że aż tak dużo nas przyszło na pogrzeb. Nic dziwnego, że w odpowiednim momencie usłyszeliśmy wycie goprowskich syren i nic dziwnego, że nad Jego grobem niektórzy czuli potrzebę powiedzenia kilku słów o swoim przyjacielu. Nie było dla nas dziwne, że przysiedliśmy i zanuciliśmy Mu górskie pieśni, te, które On śpiewał nam w chatce. Nie było także dla nas dziwne, że zgodnie z Jego wolą część jego prochów poniesiono w góry, pod Bażynowe Skały, gdzie wieczorem, w momencie gdy wstawały gwiazdy, zostały rozsypane, tak by mogły połączyć się z ukochaną przez Niego przyrodą. Tak by Jego duch był od tej pory zawsze wśród nas i byśmy mogli czasami, siedząc przy ognisku, poczuć Jego bliskość. Bo takich ludzi, jakim był „Babcia”, nie spotyka się często. Są oni rzadkim gatunkiem.

Andrzej Rumiński

KOMUNIKAT

W marcu 2012 r. Dariusz Morsztyn *Biegnący Wilk* podejmie pierwszą próbę startu na 1000-kilometrowej trasie jednego z trzech najtrudniejszych i zarazem najbardziej na północ położonego długodystansowego wyścigu psich zaprzęgów – Finnmarkslopet. To bardzo duże wyzwanie i wielka wyprawa! Nikt z Polaków jeszcze w takim przedsięwzięciu nie uczestniczył. Poprzedni start (2009) był bardzo dużym sukcesem medialnym, o czym przekonują np. nadal liczne odsłony w Internecie na hasło: „biegnący wilk finnmarkslopet”. To będzie bez wątpienia duże wydarzenie medialne i społeczne (m.in. *Biegnący Wilk* będzie w ramach wyprawy promował antywycynowe podejście do sportów z udziałem zwierząt i naturalne metody treningów).

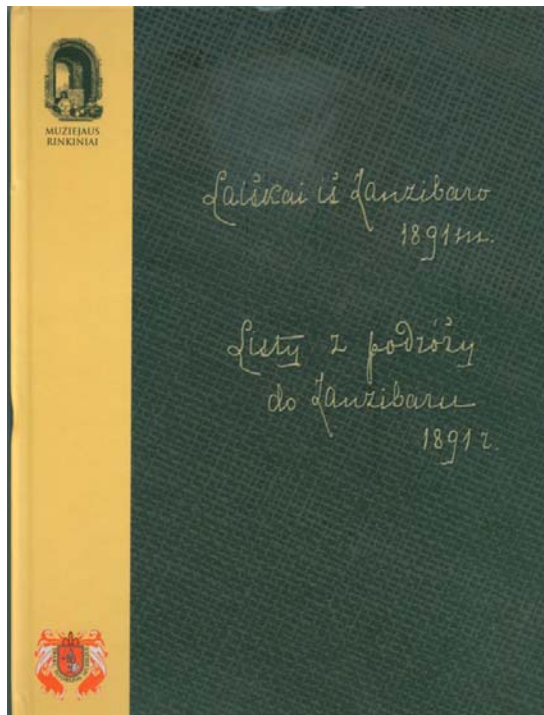
Kontakt: Dariusz Morsztyn, biegnacy-wilk@post.pl, 604-292-997.

Andrzej Rumiński

Listy z podróży do Zanzibaru 1891 r.

Pod powyższym tytułem została wydana w 2010 r. w Trokach na Litwie książka (128 str., twarda okładka, nakład 2000 egz.), napisana przez właściciela posiadłości w Wace Trockiej Jana hr. Tyszkiewicza (1867-1903). Zawiera ona szesnaście listów napisanych po polsku i 75 zdjęć z wyprawy-podróży do Afryki. Ostatnim właścicielem tych listów i zdjęć zszytych w rękopiśmienną książkę był bliski znajomy rodziny Tyszkiewiczów, ks. dr Kazimierz Kułak. Nabyło je od niego w 1977 r. Muzeum Historyczne w Trokach. Organizatorem wyprawy był Henryk Sienkiewicz, ówczesny redaktor gazety „Słowo”. Redakcja ponosiła koszty całej wyprawy i zobowiązała się do publikacji na łamach gazety wrażeń z podróży. O faktach tych wspomina w swojej książce „Tyszkiewiczowie z Waki” (prezentowana w naszym magazynie w kwietniu br.), pisarka Liliana Narkowicz, która korzystała z rękopisu w Trokach.

Virgilijus Poviliunas – dyrektor Muzeum Historycznego w Trokach, pisze we wstępie do książki: „Wierzę, że to unikatowe opisanie podróży, wspaniale ilustrowane fotografiami autorstwa Jana hr. Tyszkiewicza, zainteresuje czytelnika. Szczególnie mi miło, iż z tym rękopisem będą mogli się zapoznać nie tylko litewscy miłośnicy historii i kultury, ale też sąsiedzi Polacy, których zainteresują nowe fakty z życiorysu Henryka Sienkiewicza. „Listy z podróży do Zanzibaru” nie zostałyby wydane bez życzliwej pomocy wielu ludzi. Przede wszystkim dziękuję Polsko-Litewskiej Grupie Ekspertów do spraw Zachowania Dziedzictwa Kulturowego, która w trakcie obrad na zamku Ryn w październiku 2009 roku podtrzymała projekt publikacji rękopisu. Osobno chciałbym podziękować kierownictwu Ministerstwa Kultury Litwy oraz Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego Rzeczypospolitej za finansowanie oraz Instytutowi Polskiemu w Wilnie. Zapraszam do zanurzenia się w przygody z podróży!”



Krzysztof R. Mazurski

Koniecznie poznać Olesno!

Bogata w przyrodę i dzieła rąk ludzkich ziemia śląska, rozciągająca się od Beskidu Śląskiego po Krosno Odrzańskie, obfituje w ciekawe i piękne miejscowości. Nie wszystkie jednak są wypromowane w świadomości naszych rodaków, jak Paczków czy Świdnica – nie mówiąc o Wrocławiu, stolicy nadodrzańskiej krainy. Do tych mniej znanych należy górnośląskie Olesno, usytuowane w północno-wschodnim narożniku woj. opolskiego. Z przyjemnością więc mogę zarekomendować najnowszy po nim i jego okolicy przewodnik, wydany przez coraz widoczniejszą na turystycznym rynku oficynę.

Pozycja skonstruowana została w klasyczny sposób, a więc zawiera najpierw prezentację miejscowej przyrody, po której następuje zarys wydarzeń historycznych. Najwięcej miejsca zajmują opisy walorów krajoznawczych tego powiatowego miasteczka, ułożone w siedem tras. Pozwalają one poznać wszystkie ważniejsze w nim obiekty, z których najciekawszym jest drewniany kościół św. Anny, zbudowany na nader oryginalnym rzucie. Koniecznie trzeba go zobaczyć! Z kolei pięć tras pieszych wyprowadza poza Olesna, stwarzając szansę na zapoznanie się i z innymi drewnianymi kościołami, których w tej części Śląska jest wiele. Rowerzyści mają sześć tras, stanowiących fragmenty wytyczonych szlaków rowerowych. Tu można zgłosić zarzut, że te trasy kończą się na granicy gminy czy w innych miejscach i nie mają charakteru pętli, dzięki której turyści mogliby wrócić do Olesna. Trochę to dziwne i niepraktyczne.

Wreszcie podano opisy fragmentów trzech tematycznych szlaków (ogólno)opolskich. Bogaty zestaw informacji praktycznych ułatwia pobyt na tym terenie, a anglo- i niemieckojęzyczni przybysze mają do dyspozycji obszerne streszczenia. Szkoda, że ci drudzy nie otrzymali przy polskich nazwach miejscowości nazw niemieckich, nadal przecież funkcjonujących w świadomości Niemców i w ich wydawnictwach. W niczym by to nie zaszkodziło polskiej „sprawie”.

Mocną stroną przewodnika o dowcipnym tytule są liczne ilustracje – fotografie i rysunki, wszystko w kolorze, poręczny, kieszonkowy format i nieco twardsza okładka. Ma ona charakter rozkładówki, na której wewnętrznych stronach zamieszczono plan miasta i mapkę okolic. Gustowne przy tym.

Zakradło się jednak nieco potknięć i błędów, które warto poprawić przy drugim wydaniu (jeśli takowe będzie). Otóż bielik nie jest orłem, bo- wiem należy do rodziny jastrzębi (s. 11). Błędem, wręcz nagminnym, jest określanie ewangelickich świątyń zborami (s. 42), zwłaszcza że stale używa się określenia tej budowli jako po prostu kościoła. Zbór to ludzie, gmina, wspólnota parafialna. W 1241 r. miał miejsce w południowej Polsce i na Śląsku najazd mongolski, a nie tatarski (s. 125). Określenie *Sowieci* w obiektywnym wydawnictwie, jakim powinien być rzetelny przewodnik, najzwyczajniej nie pasuje (s. 133). Najzwyczajniej wystarczyłoby napisać *żołnierze radzieccy*. No cóż, ale teraz taka „moda” językowa.

Jak na publikację, zawierającą mnóstwo szczegółowych informacji, to niewiele. Świadczy to o staranności pracy autorów i dobrym poziomie wydawnictwa. Więc – ruszajmy z drogą wraz z nim!

Urząd Miejski, Nadleśnictwo Olesno, E. Cichoń, M. Antkowiak, E. Rymarczyk: *Bez Olesna ani Róż*. Opr. wydawnicze: Amistad Sp. z o. o., Kraków. Urząd Miejski: Olesno 2011, 192 s.



Krzysztof R. Mazurski

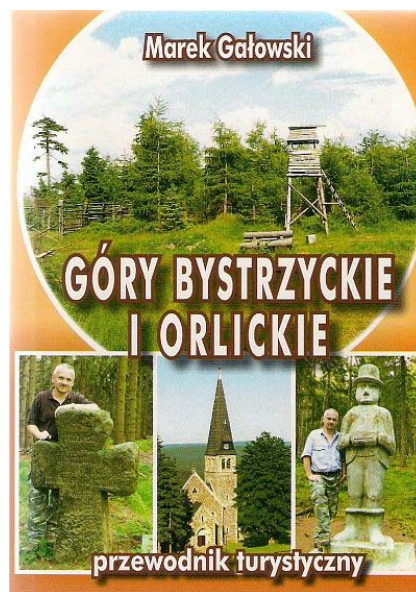
Góry Bystrzyckie czekają

Tytułowe pasmo Ziemi Kłodzkiej i przylegający doń skrawek Gór Orlickich to tereny mało popularne wśród turystów, jedynie Zieleniec cieszy się wzięciem, ale u narciarzy-zjazdowców. Tymczasem góry te – prawda, że płaskate, dostarczają wielu wrażeń, są ciche i spokojne, doskonale na niemęczące wędrówki piesze, narciarskie i kolarskie, a ostatnio i konne. Wiele uroku posiada schronisko PTTK „Jagodna” na przełęczy Spalona, gdzie można dojechać nawet samochodem. Tymczasem po II wojnie światowej nie miały one z powodu małego ruchu turystycznego uznania u wydawców. Pierwszy samodzielny przewodnik po wschodniej części Sudetów Środkowych, autorstwa wyżej podpisanego, ukazał się dopiero w 1993 r.! Szybko nakład został wyczerpany, potem minęło kilka lat i ukazał się następny, no i 2007 r. przygotowany przez Marka Gałowskiego z Żelazna, mieszkańca wsi położonej niemal u stóp pasma.

Przedstawiana pozycja, rozwinięta wobec poprzedniej edycji, ma nieco tradycyjny układ, od którego odbiega brakiem tzw. części ogólnej, czyli zarysu przyrodniczego, historycznego itp. (nie zastąpi tego bardzo krótka charakterystyka obu pasm). Ponoć współcześni turyści i tak tego nie czytają. A szkoda. Początkiem jest ABC miejscowości, gdzie opisy są rzetelne i wystarczająco szczegółowe, zawierające nadto moc fotografii, przeważnie czarno-białych. Dalej postępuje opis siedemnastu tras pieszych – mniej niż w moim przewodniku, ale też inny jest system ich opisu – całości przebiegu, a nie do punktów węzłowych. Osobny opis posiadają wyróżniające się trasy, jak doliną Dzikiej Orlicy (bodaj najpiękniejszej po polskiej stronie Sudetów) czy bystrzyckich duktów, np. Drogi Zbłąkanych Wędrowców. Na koniec czytelnik otrzymuje garść zróżnicowanych informacji praktycznych.

Za bardzo dobry należy uznać format przewodniczka – jeszcze mniejszy od kieszonkowej serii OW Sudety. Dostrzegam w nim natomiast jeden mankament: brakuje bowiem choćby najskromniejszego szkicu szlaków, który ułatwiłby zaplanowanie wędrówek. Dyskusyjne wydaje mi się natomiast zamieszczanie nazw niemieckich. Z pozycji tej Niemcy raczej na pewno nie będą korzystali, przeciętnym polskim turystom na nic to się nie przyda, a dociekliwi mogą je ustalić z cytowanego w spisie literatury „Słownika geografii turystycznej Sudetów” t. 14. Ogólnie rzecz biorąc – udana rzecz!

M. Gałowski: *Góry Bystrzyckie i Orlickie*. Żelazno: Wyd. Markowa Turystyka 2011, 284 s.



Andrzej Rumiński

RATUJMY CERKIEW W BYSTREM W BIESZCZADACH

Niedawno dostałem wiadomość o niszczącej cerkwi w Bystrem, z apelami kilku osób o wsparcie i pomoc w jej odbudowie. Na stronie <http://tonzbieszczadzki.pl/ratujmycerkiew.htm> czytam: „Cerkwi w Bystrem (gmina Czarna) grozi zawalenie. To może być ostatni rok jej istnienia. Z twoją pomocą możemy uniknąć katastrofy. Świątynia została wzniesiona ponad sto lat temu w unikalnym stylu architektonicznym. To jedyny tego typu obiekt w Polsce.”

TOnZ Bieszczadzki opiekuje się zabytkiem od lat. Wielokrotnie naszym staraniem prowadzone były na nim prace remontowe i zabezpieczające, ale to nie wystarcza. Niestety czas robi swoje. Cerkiew od 1951 r. stoi pusta i powoli niszczeje. Jest własnością Skarbu Państwa, wpisaną do rejestru zabytków 18.03.1970 roku pod nr A-318. Jej stan techniczny budzi nasze poważne obawy. To tylko niektóre z problemów, które trzeba koniecznie rozwiązać. Dlatego apelujemy o wsparcie finansowe naszych działań. Nie możemy dopuścić, żeby cerkiew w Bystrem spotkał ten sam los co w innych miejscowościach, w których zaniedbane świątynie uległy zawaleniu.

Pomóżcie uratować ten unikalny zabytek karpackiej kultury! Każda złotówka będzie bardzo cenna. Wpłaty można przekazywać na konto oddziału: Towarzystwo Opieki nad Zabytkami – Oddział Bieszczadzki – Bieszczadzki Bank Spółdzielczy w Ustrzykach Dolnych nr konta: 45 8621 0007 2001 0003 0528 0001 KRS 0000131582, albo na konto Zarządu Głównego TOnZ z dopiskiem „cerkiew w Bystrem”.

Jeśli masz jakieś pytania lub propozycje – napisz do nas, lub zadzwoń!!! Kontakt: Bogdan Augustyn (koordynator akcji) – bogdan@tonzbieszczadzki.pl.

Pani Ewa Siurawska pisze 23.09 br.: „Wysyłam do wszystkich Państwa z tej listy adresowej (...) wołanie bieszczadzskich społeczników o pomoc w ich staraniach o uratowanie cerkwi w Bystrem. Nie chodzi tu o łapanie za kieszeń, ale może ktoś wymyśli jakąś szerszą akcję. Może ktoś z Państwa kocha Bieszczady, albo przynajmniej je odwiedza. Byłam tam w zeszłym roku, poznałam osobiście grupę ludzi od lat ratujących pamięć historyczną i dorobek tamtych ziem. To niezwykli ludzie, ze wszech miar godni zaufania i wsparcia. Nie zawsze sobie dobrze radzą z biurokracją itp. przeciwnościami, ale kto coś



Cerkiew w Bystrem. Fot. Danuta Kuś-Załęska



Wnętrze cerkwi w Bystrem. Fot. Irena Kozioł-Załęska

chciał w Polsce zrobić społecznie (czyli za darmo i ofiarnie) ten wie, o czym mowa. Są daleko od żył złota jakimi są różne dotacje państwowe i unijne, a resztą o dotacje może występować właściciel w tym przypadku urząd powiatowy, ale nie widzi on w tym dla siebie interesu. Słowem – sprawa godna i słuszna, więc się zwracam do Państwa o jej nagłaśnianie! A nuż ktoś coś skutecznego wymyśli?

Na powyższy list odpowiedziała Barbara Despiney Zochowska CNRS Université Paris:

„Drodzy Państwo! Apel Ewy przekaze członkom francuskiego Stowarzyszenia „Gonty w Polsce”, ktorego jestem vice-przewodniczcza. Mysmy juz przekazali 3000 euros na zabezpieczenie dachu cerkwi w Piatkowej Ruskiej. Cerkiew w Bystrem tez znamy, czy to nie Pan Augustyn sie nia zajmowal? Pozdrawiam serdecznie!”

Bieszczady! Zostały mi po nich tylko wspomnienia. Pierwszy raz byłem tam w 1958r. Potem wielokrotnie, odwiedzając czasem daczę mego Ojca w Polanie nad Czarnym Potokiem. Ponad 33 lata temu byliśmy tam z moim synem Pawłem (webmaster „Na Szlaku”) i Krzyskiem Mazurskim (Naczelnym Redakcji „Na Szlaku”), podczas naszej wędrówki na VIII CZAK w Tylawie k/Dukli 17-20 VIII 1978, komandorem zlotu był wówczas kol. Tadeusz Basak.

„Na Szlaku” – miesięcznik turystyczno-krajoznawczy.

Czasopismo Oddziału Wrocławskiego PTTK, odznaczone Złotą Honorową Odznaką PTTK.



Redaktor Naczelny: **Krzysztof R. Mazurski**

Sekretarz Redakcji: **Andrzej Rumiński**

Z-ca Sekretarza: **Alicja Jachimowicz**

Zespół Redakcyjny: **Wojciech Radliński**

Redakcja techniczna: **Piotr Dacko**

Webmaster: **Paweł Rumiński**

Stale współpracują: **Henryk Paciej, Juliusz Wyślouch**



Adres Redakcji: Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław; tel. +48 71 343 03 44

ISSN 1230-9931

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji tekstów, przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Przedruki tylko za podaniem źródła.

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu i reklam wewnątrz numerów na odrębnie uzgadnianych zasadach. Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

Redakcja będzie wdzięczna za wpłaty w formie darowizny na dobro czasopisma dokonywane na konto Oddziału Wrocławskiego PTTK w BZ WBK SA Oddział Wrocław nr:

38 1090 1522 0000 0000 5201 9117 z zaznaczeniem „Na Szlaku”.

Drukowane numery archiwalne (w miarę posiadania) do nabycia w Oddziale Wrocławskim PTTK.